Nr. 4. Poznań, dnia 26-go stycznia 1913. Rok XVII.

Abonament wynosi kwartalnie na poczcie . 2,— z odnoszeniem do domu . . . 2,12 pod opaską . . 3,50

PRACA

Adres Redakcyi: Poznań, ul. Rycerska Nr. 38
Telefon Nr. 397.
OGŁOSZENIA: od wiersza drobnego 30 fen.

Tygodnik polityczny i literacki, illustrowany.

Pokój na Bałkanach.

W środę, gdy liczne rzesze publiczności polskiej udawały się do przybytków Bożych, by zanieść modły przed tron Przedwiecznego za spokój dusz poległych w ostatniej polskiej wojnie narodowej o niepodległość bohaterów naszych, ukazały się w oknach wystawnych czerwone telegramy obwieszczające sensacyjną wiadomość, iż Turcya zaniechała dalszego oporu w sprawie Adryanopola i gotowa jest do zawarcia pokoju na warunkach proponowanych w nocie zbiorowej mocarstw europejskich.

Tem samem kończy się poważna część dramatu bałkańskiego. Proces wypierania systematycznego mahometanizmu z Europy posunął się o walny krok naprzód. Tragedya rozbioru rozległych włości tureckich, o ile one na europejskiem rozpościerają się terytoryum, dobiega końca. Adryanopol bowiem, to nie tylko świętość mahometańska, zamykająca w sobie groby kalifów, to zarówno klucz do bram Konstantynopola.

Nie wiadoma na razie, jakie względy zniewoliły rząd turecki do tak szybkiej decyzyi. Boć nie tyle sam fakt ustępstwa tureckiego zadziwia jak raczej nagłość, z jaką ją ogłoszono.

Że Turcya ostatecznie zgodzi się na oddanie Adryanopola, to było wolno przypuszczać z chwilą, gdy nie ulegało wątpliwości, iż koncert europejski stanowczo tego pragnie. Europa bowiem silniejsza jest niż rozbita i zdemoralizowana Turcya. Zresztą mniemać należy, że presya, wywierana przez mocarstwa na rękę była rządowi tureckiemu wobec własnych swoich poddanych. Ustąpiła przecież przed siłą, wobec której opór byłby prostem szaleństwem. Lecz wschodni obyczaj lubi targi i temporyzowanie. Że tego zaniechano, zdaje się wskazywać na rozpaczliwe położenie rządu tureckiego w innej jeszcze dziedzinie jak na polu dyplomatycznem i stategicznem. Doznaje się wprost wrażenia, jakoby Turcya wyczekiwała energiczniejszego kroku mocarstw, aby nim upozorować odwrót na całej linii.

Pole dla domysłów szerokie. Jedni twierdzą, że Rosya nader energicznie wezwała Turcyę przez usta swego ambasadora w Konstantynopolu barona Giersa do poddania się woli mocarstw europejskich, grożąc w razie oporu wkroczeniem wojsk swoich do Armenii. Inna wersya głosi, iż w zamian za Adryanopol otrzymała Turcya znaczną pożyczkę od mocarstw, umożliwiającą jej wypłacić żołd wojsku i pensye urzędnikom, co pustemu skarbowi tureckiemu coraz trudniej przychodziło i groziło nader fatalnemi następstwami. Utrzymują także, że dotkliwa klęska poniesiona w bitwie morskiej z Grekami miała być właściwym powodem tak nagłej kapitulacyi. Nie brak i takich, którzy utrzymują, iż mądry i przebiegły wezyr Kiamil basza, widząc zapał wojenny młodoturków i lękając się opozycyi Zgromadzenia narodowego, które miało w sprawie pokoju ostatnie powiedzieć słowo, ubiegł te narady i dyskusye i postawił kraj przed fakt dokonany.

Jakiekolwiek były przyczyny i pobudki postanowienia rządu tureckiego, tyle pewna, że innej drogi wyjścia dla Turcyi nie było.

Zdradzona przez przyjaciół i opuszczona przez tych, co tylko dla zysku sympatye przed nią kłamali, nie mogła się narażać na dalszą wojnę, która nie byłaby polepszyła jej szans w Europie, a łatwo mogła we wir wypadków wciągnąć jej posiadłości azyatyckie, będące oddawna celem pożądliwości Rosyi i innych państw europejskich.

Dla pokoju europejskiego ustępstwo tureckie w kwestyi Adryanopola dobrą jest wróżbą. Nie usuwa ono wszelkich niebezpieczeństw, boć pozostaje jeszcze wciąż niezałatwiona sprawa albańska, która zapewne niejeden jeszcze kłopot sprawi londyńskiej konferencyi ambasadorów, pozostaje jeszcze niezałatwiony konflikt bułgarsko-rumuński. Ufać jednak i życzyć należy, że i te sprawy rychło należytego doznają uporządkowania, i że od tak długiego czasu wciąż obawami wojny nękana ludność europejska nareszcie swobodnie odetchnąć będzie mogła i w uporządkowanych stosunkach znów odda się spokojnej, twórczej pracy.

Prezydent Rzeczypospolitej francuskiej.

W piątek d .17 bm. dokonał we Wersalu kongres francuski, złożony z izby posłów i senatu, na drodze wyborów tajnych elekcyi prezydenta rzeczypospolitej francuskiej.

Z urny wyszedł zwycięsko w drugim pochodzie wyborczym p. Rajmund Poincaré, dotychczasowy prezes gabinetu.

Dnia 18-go lutego rozpocznie on siedmioletnie urzędowanie i zamieszka w pałacu Elizejskim, który rozrzutny i rozwiozły mąż Maryi Leszczyńskiej,



Rajmund Poincaré,
nowy prezydent Rzeczypospolitej francuskiej.

król Ludwik XV. wznieść kazał dla swej pięknej zarówno jak osławionej faworyty Joanny Antoniny markizy Pompadour, córki podrzędnego urzędnika nazwiskiem Poisson, a żony dzierżawcy podatków p. Lenormand d'Etioles.

Współubiegało się o tę najwyższą godność, jaką rozdaje naród francuski obok p. Poincaré'go jeszcze kilku pretendentów, aby wymienić tylko multimilionera Pamsa, Vaillanta, prezesa izby Deschanela, byłego prezesa ministrów Ribota, prezesa senatu Dubosta, lecz jedynie Pams, kandydat masonów, zdobywając w pierwszym pochodzie 327, a w drugim 296 głosów, okazał się poważniejszym przeciwnikiem. Vaillant, kandydat socyalistów, otrzymał tylko 63 resp. 69 głosów; reszta zaledwie kilka lub kilkanaście głosów na siebie zgromadzić zdołała.

P .Poincaré zaraz w pierwszym pochodzie z 872 oddanych głosów zdobył 429, a więc pięć mniej niż wynosiła większość absolutna wyrażająca się w liczbie 434. Drugi pochód wyborczy przyniósł mu głosów 483, a byłby był przyniósł bez porównania więcej, gdyby się nie był wdał w sprawę sprytny intrygant Clémenceau, który zniewolił radykałów i radykalnych socyalistów do beznadziejnego wotowania za Pamsem, aby w ten sposób zapobiedz utworzenia się za Poincarém większości, któraby jako rodzaj plebiscytu tłumaczoną być mogła.

Tak więc mimo wszelkie intrygi stało się zadość woli narodu francuskiego, który — jak to wynika z głosów prasy — w olbrzymiej większości życzył sobie wyboru Poincarégo. To też zrozumiały jest entuzyazm uwydatniający się



Małżonka nowego prezydenta Rzeczypospolitej francuskiej.

obecnie w całej Francyi z wyniku wyboru.

* * *

Rajmund Poincaré jest jedną z najwybitniejszych postaci Francyi współczesnej. Urodzony r. 1860, liczy obecnie lat 52. Już jako młodzieniec 27 letni był posłem, 5 lat później piastował po raz pierwszy tekę ministeryalną. Był ministrem oświaty, następnie finansów, potem znowu oświaty. Za gabinetu Sarriena 1906 r. dzierżył tekę finansów. Uchodzi on za najlepszego znawcę etatu francuskiego, sprawozdania, które w tej materyi trudnej i zawiłej składał w senacie, uchodzą za wzór ścisłości i przejrzystości. Jego stanowisko wobec socyalizmu charakteryzuje fakt, że r. 1894 odrzucił utworzenie gabinetu, ponieważ Millerand żądał dla socyalistów współudziału w rządzie. Również za czasów osławionej Dreyfusyady operował bardzo szczęśliwie, trzymając się na uboczu i tylko wręcz interpelowany przemawiając za Dreyfusem.

Jakkolwiek wybitny był udział Poincarégo w polityce, to jednak nie był on nigdy politykiem zawodowym. Był raczej głównie adwokatem, doradcą i przedstawicielem wielkich banków, wielkich przedsiębiorstw przemysłowych i gazet. Znany jest jako znakomity mówca, wytworny parlamentarzysta, a także jako pisarz głęboki. Podobnie jak pierwszy prezydent francuski Thiers i p. Poincaré jest członkiem akademii.

Jako prezes gabinetu, którą to godność piastował, jak na stosunki francuskie bardzo długo, bo rok cały — i byłby nadal pozostał przy sterze, gdyby go wybory wersalskie nie odwołały na wyższe, aczkolwiek mniej wpływowe stanowisko — wywiązał się ze zadania z niepowszednią zręcznością i niezrównaną znajomością rzeczy. Tak np. wybitna rola, którą Francya odegrała podczas obecnej kryzy wschodnio-europejskiej, na jego wyłączne konto zapisać trzeba. Należy on bezsprzecznie do najwybitniejszych kierowników polityki francuskiej. Jest nie tylko niepowszednią umysłowością, lecz także człowiekiem o wybitnym charakterze i o żelaznej konsekwentnej woli.

I ten szczegół snać najbardziej nie podoba się u Poincarégo masonom. Nienawidzą oni silnych indywidualności i samodzielnych, przejętych poczuciem odpowiedzialności politycznej ludzi. To też wybór Poincarégo oznacza poważną klęskę masoneryi, chociaż nie należy posuwać się w optymiźmie tak daleko, aby spodziewać się zasadniczych zmian w polityce antykościelnej rządu francuskiego, boć Poincaré jest zwolennikiem Brianda, przyszłego szefa gabinetu, a Briand — jak wiadomo — jest ojcem ustawy o rozdziale kościoła i państwa...

Utarło się zdanie, a przyczynili się do tego we wybitnej mierze ostatni dwaj prezydenci, jakoby prezydent rzeczypospolitej francuskiej nie wiele znaczą-

cą rolę odgrywał w polityce, jakoby to był urząd raczej reprezentacyjny i dekoratywny, aniżeli praktycznie wpływowy i znaczący.

Tak jednak nie jest bynajmniej. I jakkolwiek władza prezydentów francuskich nie może się równać z takąż ich kolegów amerykańskich, to jednak przyznaje im konstytucya francuska z r. 1875 tak poważne prawa ingerencyi w życie państwowe, iż mógłby im ich pozazdrościć niejeden monarcha.

Tak np. podpisuje prezydent jako naczelnik władzy wykonawczej wszelkie dekreta i ogłasza wszelkie ustawy. Przyjmuje on akkredytowanych u siebie ambasadorów i przewodniczy radzie ministrów, przez co może wywiera znaczny wpływ na ogólną politykę rządu. Ma on prawo zażądać powtórnych obrad nad uchwalonemi już ustawami i może zwracać się każdej chwili do parlamentów z orędziami. Wolno mu zwoływać izby poza czasem właściwych kadencyj, wolno mu także — wprawdzie za zezwoleniem senatu — izbę posłów rozwiązać. Wielkiej także doniosłości rzeczą jest przysługujące mu prawo rozwiązywania kryz ministeryalnych. Nie kto inny, tylko prezydent rzeczypospolitej wyznacza prezesa ministrów tj. wybiera męża, któremu porucza złożenie nowego gabinetu.

Wprawdzie od czasu, gdy konserwatyści i monarchiści francuscy stracili wpływy w rządzie, a partye republikańskie ujęły ster spraw wyłącznie w swe dłonie, prezydenci rzeczypospolitej przestali korzystać z niektórych wyżej wyszczególnionych a tyle ważnych przywilejów, lecz i dzisiaj jeszcze dzierżą oni przewodnictwo w radach ministrów i wyznaczają prezesów gabinetu i mają wskutek tego wybitną sposobność uwydatnienia skutecznego swych wpływów na bieg polityki rządowej.

Mężem, którego cała przeszłość i charakter zarówno osobisty jak polityczny idzie na rękę żywiołom upatrującym we wskrzeszeniu tych licznych i ważnych, a niemal zupełnie zapomnanych przywilejów prezydenta uzdrowienie życia państwowego — zdaje się być nowo obrany p. Rajmund Poincaré, dziewiąty z rzędu prezydent trzeciej z rzędu rzeczypospolitej francuskiej.

* * *

Skoro potrąciliśmy o liczby, przypomnijmy sobie jeszcze na koniec nazwiska ośmiu poprzedników p. Poincaré na stolcu prezydyalnym. Byli nimi: Adolf Thiers (1871—73), Mac Mahon (1873—79), Juliusz Grévy (1879—85 i 1885—87), Sadi Carnot (1887—1894), Kazimierz Perier (1894—95), Feliks Faure (1895—99), Emil Loubet (1899—1906) i Armand Fallières (1906—1913).

Co zaś do liczby porządkowej republik francuskich, to pierwsza przypada na czas intermedyujący pomiędzy upadkiem Ludwika XVI. a cesarstwem Napoleona I. (1792—1804); drugą stworzyła rewolucya r. 1848, zmuszająca Ludwika Filipa do ucieczki, a powołująca na prezydenta księcia Ludwika Napoleona, który następnie r. 1852 jako cesarz Napoleon III. efemeryczny jej żywot zakończył; trzecia, najwięcej okazująca żywotności, rozpoczęta z chwilą, gdy wieść o upadku Sedanu (2 września 1870 r.) i o wzięciu do niewoli cesarza nadeszła do Paryża.

Na likwidacyę tej republiki czekają od przeszło czterdziestu lat bezskutecznie żywioły monarchiczne rozmaitego zabarwienia i rozliczni pretendenci, z których najważniejsi są ks. Ludwik Filip, głowa rodziny Orleanów, pragnący wskrzeszenia Francyi królewskiej, i ks. Wiktor Napoleon, ożeniony z księżniczką belgijską, naczelnik rodu Bonapartych, a reprezentant idei cesarstwa francuskiego. Nie bez interesu, chociaż bez znaczenia jest okoliczność, że część monarchistów zamierzała ogłosić oficyalnie kandydaturę ks. Wiktora Napoleona z racyi obecnej zmiany w najwyższym urzędzie rzeczypospolitej. W dziedzinę zaś humorystyki wkracza agitacya za kandydaturą żeńską na najwyższy urząd we Francyi...



Rok 1863

(Rzeźba prof. Raszki.)

Pod wpływem 50-tej rocznicy powstania styczniowego, stworzył znany z poprzednich prac artysta rzeźbiarz prof. Raszka nowe dzieło, niezwykle silne, które jest nowym etapem jego działalności. Praca ta sprawiająca niesłychanie silne wrażenie na widza jest oryginalnie podjętą i świadczy o głębokiem odczuciu wypadków 63 r., swoją żywotnością i swym rozmachem. Motto dzieła to Polska, wiodąca swe syny do boju przeciw Moskalom. Zrywająca się postać kobieca ze sztandarem rozwiniętym w ręku w szalonym rozpędzie prowadzi w bój hufce. Z twarzy jej płonie niewysłowione cierpienie i rozpaczliwe męstwo, w oczach ból przeżytych cierpień i bezgraniczny zapał. Z lewej strony towarzyszy jej młodzieniec, który z rozmachem kolby toruje sobie drogę poprzez zastępy wrogów Moskali. Z prawej do ataku z bagnetem w ręku bieży postać jednego z tych tysięcy. którzy powstali na hasło rządu narodowego. We wszystkich figurach w szczegółach jak też i w całości wyrażona jest niesłychana siła wybuchowa tych uczuć, jakie wówczas tkwiły w narodzie. Cała grupa mimo szalonego ruchu w figurach jest tak związana i stylizowana, jakby była z jednej wielkiej bryły wykuta a projekt ten w kamieniu wykonany ujawniłby się w całej swej okazałości i wartości.

Z naszych spraw.

Obchód rocznicy powstania styczniowego w Poznaniu.

W ubiegłą środę rano rozpoczął się w Poznaniu obchód rocznicy styczniowej nabożeństwami w naszych świątyniach: w kościele św. Marcina o godzinie 6-tej odprawił ks. dr. Janasik Mszę św. Kościół był przepełniony pobożnymi. Msza po łacinie była na chórze śpiewana. Na końcu zaśpiewano „Witaj Królowa.“ U Bożego Ciała odprawił Mszę św. ks. Cieszyński. Kościół był przystrojony w kwiaty. Śpiewano po łacinie. Przy końcu zagrał organista żałobny marsz Chopina. Kościół był również przepełniony. W kościele świętołazarskim odprawiło się nabożeństwo o godz. pół do 9-tej; kościół był po brzegi napełniony. Także i w innych kościołach odprawiły się Msze św. przy bardzo licznym udziale wiernych. U Fary rozpoczęło się nabożeństwo przed godz. 10-tą. Obszerna świątynia była tak przepełniona, że panował ścisk. Mszę św. odprawił ks. prałat Stychel. Po skończonej ofierze zaśpiewano „Witaj Królowa,“ a potem „Boże coś Polskę.“ W świątyni całej rozbrzmiał ten rzewny śpiew silnym echem. — Zresztą skromnie odbyły się nabożeństwa, bez wszelkiej okazałości — i tylko łzy cisnęły się ludziom do ócz.

Przy pomniku Mickiewicza obok kościoła św. Marcina złożono mnóstwo wspaniałych wieńców z całego zaboru pruskiego, a nawet z obczyzny. Przez cały dzień mnóstwo publiczności przechadzało się koło pomnika. Na ulicach Polacy i Polki chodzili z przypiętemi kwiatkami „nieśmiertelnikami“, ze sprzedaży których dochód przeznaczony będzie na wsparcie dla niezamożnych uczestników powstania.

Przedpołudniowa i popołudniowa część uroczystości odbyła się w najlepszej harmonii i z wielkiem podniesieniem ducha patryotycznego. Uroczystość wieczorną zaś urządzoną w zamkniętem kółku (wstęp dozwolony był tylko tym, którzy okazali się osobnem zaproszeniem) w starej sali Bazaru przy udziale przeszło 700 uczestników policya z polecenia prezydyum policyjnego rozwiązała.

Na wezwanie posła p. dra Niegolewskiego, publiczność aczkolwiek na postępowanie policyi oburzona do najgłębszego, opuściła salę spokojnie, śpiewając pieśni narodowe. Nieomal cały tłum podążył pod pomnik Mickiewicza, gdzie również śpiewano pieśni narodowe. Uroczystościowa manifestacya zakończyła się w sali Domu Katolickiego, gdzie pod wrażeniem tego, co zaszło, wygłaszano mowy patryotyczne, deklamacye i śpiewano.

Przebieg uroczystości był pod każdym względem wspaniały; duch patryotyczny owładnął sercami wszystkich, a punkt kulminacyjny — wieczornica napełniła serca uczestników ogromnem oburzeniem ku „naszym najserdeczniejszym,“ którzy, jak zwykle, i tutaj zaznaczyli „siłę przed prawem.“

* * *

Zebranie mężów zaufania w sprawie zabezpieczenia urzędników prywatnych

odbyło się zeszłej niedzieli w Gnieźnie. Zjechało się 40 mężów zaufania tak z grona pracodawców jak i pracobiorców, kilku się uniewinniło. Zebraniu przewodniczył urzędnik Komitetu Centralnego p. Kościński z Poznania. Referat wygłosił prezes Zjednoczenia Młodzieży Kupieckiej p. Cz. Bugzel z Poznania, protokół prowadził sekretarz Zjednoczenia p. M. Nowak. Polacy wobec małej liczby wybranych na całą rzeszę niemiecką mężów zaufania nie mają prawie żadnych widoków przeprowadzenia swych kandydatów.

Z mężów zaufania, którzy w sprawie wyboru bezpośrednio konferować muszą z urzędem zabezpieczenia Rzeszy, wybrano z pracodawców p. Jana Bolta, z pracobiorców p. Franciszka Krajnę z Poznania.

* * *

Ustawa o wzmocnieniu niemczyzny.

Minister rolnictwa oświadczył w komisyi budżetowej pruskiej izby posłów, że ustawa o wzmocnieniu niemczyzny na kresach wschodnich wejdzie w życie z dniem 1-go kwietnia rb.

Ustawę tę, z którą związana jest pewnego rodzaju pożyczka rządu w sumie 100 milionów marek na cele „wzmocnienia“ niemczyzny, przyjęto w sejmie w maju r. z.

* * *

Bieda z Polakami.

„Taegliche Rundschau“ zamieszcza szereg cyfr odnoszących się do ludności i stosunków w powiecie krotoszyńskim. Cyfry te wyjęła „Rundschau“ z zestawienia, dokonanego przez znanego krotoszyńskiego landrata Hahna. Z zestawienia wynika, że w ostatnim czasie, 20-leciech zmniejszyła się znacznie ludność niemiecka w miastach tego okręgu. W r. 1890 liczba Niemców w miastach okręgu krotoszyńskiego wynosiła 10 tys. 370. Niemcy stanowili wówczas 58 proc. ogółu ludności. W roku 1910 liczba Niemców wynosiła 10 tyś. 718 mieszkańców, czyli, że przez lat 20 podniosła się zaledwie o cyfrę 348. Liczba Polaków natomiast wynosiła w miastach tego okręgu w roku 1890 — 42 proc. ogółu ludności. W roku 1910 liczba Polaków wzrosła do 9385 mieszkańców i stanowiła 46 i pół proc. ogółu mieszkańców.

Najlepiej wszystkich Polaków w Krotoszyńskiem wywłaszczyć i basta!

* * *

Przez wywłaszczenie dóbr Dobska pójść będzie musiało w świat 18 rodzin z 59 dziećmi polskiemi. Między wygnańcami są tacy, którzy sami i ich ojcowie służyli w wojsku pruskiem, są ludzie schorzali, sa pobierający rentę starościową, są ułomni od urodzenia, głuchoniemi. Wszyscy ci, którzy dotąd spokojnie żyli i mieli na stare lata i wśród kalectwa chleb zapewniony — będą musieli pójść w świat o żebraczym kiju! 59 dzieci polskich będzie się musiało tułać!

Krew ścina się w żyłach na myśl, że tyle ludzi biednych, ułomnych przez wywłaszczenie będzie miało byt podkopany! A przecież w innych wywłaszczonych dobrach polskich tak samo są setki ludzi, w części biednych, starych!

Wszyscy, starzy i młodzi, zdrowi, chorzy i kalecy pójdą na tułaczkę, pójdą jako wygnańcy z tej polskiej ziemi, która ich jako dobra macierz wydała i żywiła.

* * *

Wiece przeciw wywłaszczeniu

odbyły się w dalszym ciągu w ubiegłą niedzielę między innemi *w Trzemesznie, Kruszwicy, Książu, Głównie pod Poznaniem i Dopiewie pod Poznaniem.*

Na wiecach uchwalono rezolucye przeciw wywłaszczeniu.

* * *

Zatarg rady miejskiej z magistratem.

Kruświcki magistrat postanowił wysłać adres hołdowniczy do cesarza z powodu 25-lecia jego rządów i odpowiednie uchwalić fundusze na obchód. Pomiędzy radą miejską, złożoną w większości z Polaków a magistratem, na tem tle powstał konflikt. Magistrat postanowił wysłać adres na własny koszt, a potem wytoczyć postępowanie przed wydziałem obwodowym, aby spowodować radę miejską do przychylenia się do jego uchwały.

Hakatyści są naturalnie tą sprawą bardzo oburzeni i bredzą o „demonstracyi antymonarchicznej“, jak gdyby nic nie słyszeli o akcie wywłaszczenia.

* * *

Zaprzepaszczony Bożacin.

Majątek Bożacin, który pan Kończal przewłaszczył panu Janowi Paczkowskiemu, przeszedł w posiadanie komisyi kolonizacyjnej. Odpowiedzialność za tę frymarkę ma spadać w równej mierze tak na p. Kończala jak na p. Paczkowskiego.

Kto narzeka, że nie jest bogatym, niech raczej narzeka, że nie umie kontentować się tem, co ma. Trzech rzeczy najbardziej ludzie się boją: starości, chorób i śmierci, a przez bogactwo prędzej się człowiek starzeje, prędzej choruje i wcześniej umiera.

* * *

Czucie i wiara silniej mówi do mnie niż mędrca szkiełko i oko.

* * *

Dzisiaj trzeba prawicy a jutro trzeba — praw.

* * *



Fot. Atelier „Rubens“ w Poznaniu.

Z pośród gości weselnych w Żywcu.

Ks. Hieronim Radziwiłł, hr. Józef Potocki z Rymanowa, arcyksiężniczka Mechtylda, u góry hr Plater-Zyberk junior, ks. Olgierd Czartoryski, hr. St. Plater-Zyberk, hr. Karol Tarnowski, hr. Jan Szołdrski, ks. Adam Czartoryski, ks. Ksawery Lubecki.

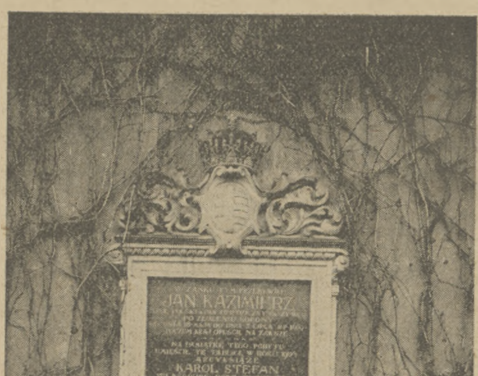
Z powodu ślubów żywieckich.

Wielorakie węzły krwi i powinowactwa łączące prastary dom Habsburski z Polską w ostatnich latach ponownie i to dwukrotnie się zacieśniły.

Przed dwoma laty arcyksiężniczka Renata, córka arcyksięcia Stefana Karola z Żywca i małżonki jego arcyksiężny Maryi Teresy Toskańskiej, wyszła za ks. Hieronima Radziwiłła z Balic. Obecnie siostra jej arcyks. Mechtylda połączyła się węzłem małżeńskim z ks. Olgierdem Czartoryskim z Sielca, synem zmarłego przed kilku laty a tyle popularnego w Księstwie ks. Zdzisława i żony jego Maryi ze Zaleskich.

Pamiętne są w historyi zabiegi dworu wiedeńskiego posiąścia korony polskiej. Stanowiła ona prastarą tęsknotę Habsburgów. Ale nic nie było Polakom tak straszne jak Habsburg na polskim tronie. Wiedzieli oni z przykładu Węgier i Czech do czego wiedzie polityka matrymonialna rakuska. Zdobyła ona Austryi bodaj większe obszary niż miecz. Wzdychając ciężko skandował Maciej Korwin, ostatni narodowy król węgierski, ironiczne słowa: Bella gerant alii, tu felix Austria nube.*) To też bronili się Polacy przed królem polskim z domu rakuskiego. Ale żaden z rodów panujących nie dał Polsce tyle królowych, co przesławna, starożytna rodzina rakuska.

I tak Kaźmierz Jagiellończyk zaślubia Elżbietę rakuszankę, córkę cesarza Albrechta, znaną w historyi pod nazwą „Matki Jagiellonów.“ Również węgierska linia Jagiellonów łączy się z Habsburgami. Ludwik Jagiellończyk żeni się z Maryą, Anna Jagiellonka wychodzi za Ferdynanda, późniejszego cesarza. Maryaże te otwierają Habsburgom wrota do Czech i Węgier. Zygmunt August zaślubia po śmierci Radziwiłłówny dwie córki cesarza Ferdynanda i Anny Jagiellonki: Elżbietę, a po jej śmierci Katarzynę. Dwie siostry Austryaczki miał Zygmunt III., Waza: Annę i Konstancyę — właścicielkę Żywca. Syn jego Władysław IV. miał jako małżonkę Cecylię Renatę, córkę cesarza Ferdynanda II. Eleonora, córka trzeciego Ferdynanda, poślubia króla Michała Wiśniowieckiego. Po jego śmierci wychodzi ona za Karola Lotaryńskiego i staje się matką protoplasty panującego dziś w Austryi domu Habsbursko-Lotaryńskiego, którego ces. Franciszek Józef ostatnim jest potomkiem. August III. Sas miał za małżonkę Maryę Józefę, córkę ces. Józefa I. Również przez córkę Jana Sobieskiego, która wyszła za elektora bawarskiego, nowe się wytworzyło pokrewieństwo pomiędzy domem Habsburskim a Polską.



Fot. Atelier „Rubens“ w Poznaniu.

Tablica ku czci króla Jana Kazimierza na starym zamku Żywieckim, wmurowana przez arcyksięcia Karola.

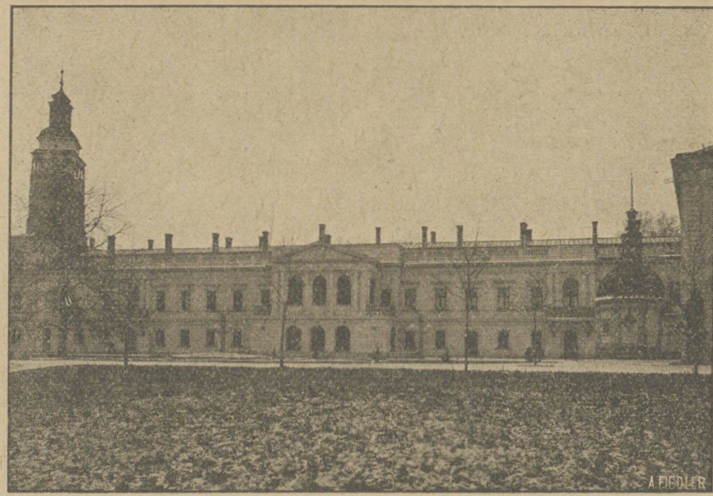
I dzisiaj po długiej przerwie na nowo łączy się krew habsburska z polską. Ale jak bardzo zmieniły się czasy! Naród polski, odarty z korony właśnie w tej części kraju, w której ma zamieszkać księżna Czartoryska, wydany jest na łup ustawy wywłaszczycielskiej...

„Habsburgowie żywieccy“ — tak piszą z Żywca do „Świata“ warszawskiego — zrośli się z ziemią naszą i są dobrymi jej obywatelami. Odziedziczywszy olbrzymie i piękne posiadłości żywieckie na Podkarpaciu, arcyksiążę Karol Stefan osiadł tu z rodziną, z początku tylko na letni pobyt, potem na stałe, i rychło okazał swe przyjazne uczucia dla miejscowej ludności i polskiego społeczeństwa. Żaden cudzoziemiec nie mógłby lojalniej zachować się wobec środowiska, w którem zamieszkał. Wiadomo, że arcyksiąże, podobnie, jak cała rodzina, mówi biegle po polsku, a nauczył się języka naszego nie tylko dlatego, by módz osobiście porozumiewać się z ludnością, nie tylko, aby zapewnić mu należne prawa w swoich rozległych dobrach, lecz także, by bezpośrednio zbliżyć się do kultury i umysłowości polskiej. Zjawili się na dworze żywieckim nauczyciele-Polacy, potem artyści-Polacy. Znalazł się pietyzm dla naszej przeszłości, która z siedzibą rodziny arcyksiążęcej związała się niejednokrotnie wybitnemi faktami. Stary, czcigodny zamek Komorowskich i Wielopolskich, w którego murach nieszczęśliwy Jan Kazimierz spędził pół roku bezpośrednio przed swą abdykacyą, troskliwie został odrestaurowany. Na ścianie zamkowej lśni dziś marmurowa tablica, upamiętnia-

*) Niech oni prowadzą wojny, ty żeń się szczęśliwa Austryo.



Fot. Atelier „Rubens“ w Poznaniu.
Stary zamek w Żywcu, pamiętny półrocznym pobytem króla Jana Kazimierza przed abdykacyą.



Fot. Atelier „Rubens“ w Poznaniu.
Nowy zamek w Żywcu wraz z kaplicą, w której się odbył ślub arcyksiężniczki Mechtyldy i ks. Olgierda Czartoryskiego.

jąca ten fakt, wmurowana staraniem arcyksięcia, z pięknym polskim tekstem, przez niego ułożonym. Jana Kazimierza portret, skopiowany ze zbiorów Burgu przez Pochwalskiego, znajduje się w bogatej arcyksiążęcej galeryi w Żywcu. Jest Sobieski. Jest specyalnie skompletowany zbiór portretów Rakuszanek, które na tronie polskim zasiadały.

Blizki, niemal serdeczny, jest stosunek dworu żywieckiego do ludności miejscowej i okolicznej. Wyrazem tego stosunku była manifestacya gorących sympatyj, z jaką ludność ta spieszyła do zamku w dniu zaślubin arcyksiężniczek, których szczodra i miłosierna dłoń długo będzie pamiętna w najuboższych zaułkach Żywca. Lojalne, obywatelskie stanowisko wobec kraju jest ściśle przestrzegane w zamku żywieckim. Wiedzą o tem polskie warsztaty i polskie składy kupieckie. Wyprawy arcyksiężniczek były szyte rękami polskich robotnic, co się podobno niezawsze zdarza wśród naszych — rdzennych „dziesięciu tysięcy.“

Najwięcej przecież wie o tych „polskich sympatyach“ Żywca — sztuka polska. Dostojny gospodarz zamku, subtelny znawca i miłośnik malarstwa i muzyki, żywo zajmuje się naszym ruchem artystycznym. Nie powie się z pewnością za wiele, jeśli temu żywemu zainteresowaniu da się miano mecenasostwa. Pałac żywiecki, to bogata i wciąż pomnażana galerya sztuki polskiej, właśnie tej najnowszej i najbujniejszej, która w Krakowie ma swe siedlisko. Axentowicz, Pochwalski, Fałat, Kossak, Malczewski, Wyspiański, Wyczółkowski, Mehoffer, Wodzinowski, Podgórski, to szczególnie uprzywilejowani. Nietylko zresztą w Żywcu. Polskie dzieła sztuki zdobią także komnaty arcyksiążęcej willi „Podjawory“ — po polsku nazwanej — na Lussin Grande. Z tytułu artystycznych swych zainteresowań częstym gościem bywa arcyksiążę w Krakowie — i umie przejechać się umyślnie automobilem, aby być na vernissage'u w Pałacu Sztuki, na przedstawieniu „Lilli Wenedy,“ czy na Wystawie architektury, którą zresztą jako protektor, osobiście otwierał.

Nic dziwnego, że ten Habsburg żywiecki ma swoje miejsce w uczuciach społeczeństwa polskiego i że, gdy drugiej córce pozwolił założyć ognisko rodzinne w Polsce, to domowa ta uroczystość dalekie echo znalazła poza żywiecką, arcyksiążęcą siedzibą.

Listy ze Lwowa.

(Własna korespondencya „Pracy“).

Dnia 16-go stycznia b. r. odbyły się wybory do Rady miejskiej rozwiązanej w lipcu zeszłego roku.

W mieście rozwinęła się na wielką skalę walka agitacyjna, w której można było zauważyć dwa obozy t. zw. blok narodowy grupujący w sobie komitet miejski, obywatelski, katolicko - narodowy, demokracyi polskiej, organizacyi narodowej i żyd. mieszczańskiej — tudzież klub reformy. Z poważnych list wymienić należy listę techników i lekarzy jedyną bezpartyjną i uwzględniającą wszelkie potrzeby miasta.

Do wyborów stanęło ogółem 11.542 wyborców — z czego padło głosów na:

Listę miejską	2486
„ obywatelską	1806
„ organ. narod.	687
„ żyd. — miesz cz.	841
„ polskiej demokracyi	826
„ katol.-narod.	727
„ chrześc.-narod.	250
„ lekarzy i techn.	437
„ urzędn. i naucz.	281
„ klubu reformy	2095
„ ruską	544
Różne	484

Z wykazu cyfrowego powyżej przytoczonego okazuje się, że blok narodowy zwyciężył na całej linii.

Absolutna większość potrzebna do uzyskania mandatu wynosiła 5726 — przypuszczają, że potrzebną większość zyskało przeszło stu radnych, do wyborów ściślejszych prawdopodobnie nie przyjdzie.

Miasto Lwów przygotowuje się z zapałem do godnego uczczenia 50 rocznicy powstania styczniowego we środę 22-go b. m. W program zamierzonych uroczystości wchodzi nabożeństwo uroczyste — nie żałobne (co wyraźnie zaznacza komitet) — Akademia w teatrze miejskim, a wieczorem uroczyste przedstawienie sztuki p. Wiśniawskiego p. t. „Leci liście z drzewa.“

Towarzystwo szkoły ludowej wydało nalepki — czysty dochód przeznaczyło na Weteranów 63-go roku.

W obronie polskości Uniwersytetu Lwowskiego wobec pojawić się mającego orędzia cesarskiego wydały grona profesorów Uniwersytetów krakowskiego i lwowskiego, Szkoły politechnicznej, Akademii rolniczej w Dublanach i Weterynaryi enuncyacye podpisane przez wszystkich doktorów i docentów, żądające niedwuznacznego stwierdzenia polskiego charakteru uniwersytetu Lwowskiego.

Ż.

Lwów, 18. 1. 1913.

Dobry i zły zarówno chodzą za bliźnimi: jeden, żeby ich żywił, drugi, by żył nimi.

List londyński.

(Własna korespondencya „Pracy.")

Londyn, dnia 15. stycznia 1913.

(O polskie książki. — Redakcya Rytmu. — Wyspiański po angielsku. — Kasy polskie.)

Przed kilku laty nad zatoką biskajską spotkałem się z osobliwą wiadomością.

Smętny jakiś „torreadore" zdawał sprawę z wrażeń, odniesionych w podróży po Polsce i nie mógł się nadziwić poetyczności narodu polskiego, który największemu swemu poecie, twórcy „najcudowniejszych śpiewów miłosnych" Donowi Kościuszce usypał pod Krakowem niebotyczną mogiłę, a o parę staj dalej czcigodnej jego kochance — a Wanda było jej imię — równie wspaniały wzniósł kopiec.

Nie przeraziłem się taką nowiną, doświadczenie bowiem nauczyło mnie, że my Polacy o byle Zulusach lepiej jesteśmy poinformowani, niż o nas najbliżsi sąsiedzi.

Wspomnienie to dziwnym trafem przyszło mi na myśl w Londynie, przy przeglądaniu wydawnictw gwiazdkowych.

Wszystkiego w nich było potrosze.

Ostatnie bulwarowe powieści Paryża, włoskie fuoco, niemieckie olbrzymie Nomadery, Skandynaowie, Rosyanie — chińskie bajki, węgierskie Jokaje nawet dla aktualności Bułgarów i Turków niewielu.

Daremnie jednak, szukałem nazwiska choćby jednego polskiego autora, nawet w takiem tłumaczeniu jak Sienkiewicza „Children of the soil," (Rodzina Połanieckich), które do głębi wstrząsają moją angielszczyzną.

I szczególnie przykrego doznałem uczucia na widok polskiej niezapobiegliwości, która uprzedzać się daje wszystkim po kolei.

Chcę mówić liczbami.

Autor angielski średnio poczytny, oblicza każdą książkę na 100 tysięcy egzemplarzy czyli przerachowawszy na gotówkę, przeciętny zbiór nowel lub powieść przynosi mu dochodu 100 tysięcy szylingów, czyli marek.

Sumy takiej, z poszczególnemi wyjątkami pisarz polski nie zarobi w przeciągu całego życia na książkach.

Nie wynika z tego, aby polska literatura miała być gorszą od angielskiej, mniej interesującą i podrzędniejszą.

Przeciwnie rzecz się ma.



Fot. Atelier „Rubens" w Poznaniu.

Nowozaślubieni: arcyksiężniczka Mechtylda i ks. Olgierd Czartoryski.

W sobotę 9-go b. m. odbył się ślub drugiej córki arcyks. Karola Stefana, arcyksiężniczki Mechtyldy z Olgierdem Czartoryskim, synem śp. Zdzisława i Maryi z Zaleskich. Na ślub przybyli między innemi: arcyks. Fryderyk jako zastępca cesarza z córką Alicyą, arc. Franciszek Salvator z małżonką arc. Maryą Waleryą i córką arc. Jadwigą, arc. Leopold Salwator z małżonką arc. Biancą i córką arc. Dolores, książe biskup ks. Sapieha, prałaci ks. Stefan Skibniewski, stryjeczny brat matki pana młodego i ks. prałat Cechoni, matka pana młodego ks. Marya Czartoryska, książęta Adam Czartoryski z małżonką i Zygmunt Czartoryski z małżonką, ks. Hieronim Radziwiłł z małżonką ks. Renatą i przedstawiciele kilku rodów arystokratycznych.

Panna młoda miała białą suknię z trenem, przetykaną srebrem i welon z cennych koronkowych aplikacyj. Tren nieśli arc. Leon i Wilhelm. Pan młody wystąpił w bogatym stroju polskim (kontusz wiśniowego koloru i biała delia).

Polacy uczestnicy uroczystości wystąpili w bogatych strojach narodowych, panie we wspaniałych tualetach.

Uroczystość ślubna rozpoczęła się odśpiewaniem hymnu „Veni Creator." Potem przemówił do nowożeńców ks. biskup Sapieha, a następnie w asystencyi ks. prałata Skibniewskiego i ks. sekr. Niemczyńskiego udzielił ślubu. Na zakończenie ks. biskup odprawił mszę św.

Po ślubie przeszedł orszak weselny do wielkiej sali, gdzie składano młodej parze życzenia. O godzinie 12-tej i pół zasiedli goście do stołu. W czasie uczty wzniesiono toasty. Przemawiali: arc. Fryderyk imieniem cesarza, ks. A. Czartoryski na cześć młodej pary, arc. Karol Stefan imieniem rodziców panny młodej, ks. K. Lubecki imieniem przyjaciół ojca pana młodego, ks. Zygmunt Czartoryski zakończył toastem „Kochajmy się."

Panna młoda otrzymała dużo podarków ślubnych. Cesarz przysłał dyadem z dyamentów, królowa hiszpańska Marya Krystyna agrafę dyamentową, król bułgarski „pendeloque" z brylantów i szafirów, matka ofiarowała arcyksiężniczce sznur pereł i broszę z dyamentami i szafirami, ojciec ofiarował komplетny serwis srebrny na 45 osób. — Pan młody obdarzył swą narzeczoną drogiemi biżuteryami. Dużo podarków nadeszło od rodzin Radziwiłłów, Czartoryskich, od księżnej wirtemberskiej, regentki bawarskiej i t. d. Malarze Kossak i Fałat nadesłali w darze portrety rodziców państwa młodych.

Anglii w obecnej chwili brak wybitnych pisarzy, a najznakomitszym z żyjących jest rodowity Polak Korzeniowski, piszący pod pseudonimem „Conrad.“

Do najpoczytniejszych należą właśnie cudzoziemcy.

Każdy niemiecki autor czuje się w obowiązku eksportować swe książki do Anglii, bo wie o tem, że dzieło jego dotrze do wszystkich pięciu części świata.

Księgarstwo niemieckie posiada dobrze zorganizowane biura pośrednictwa; zatrudnia szereg tłumaczów, zakłada filie wywozowe i na rynku londyńskim spienięża książki swych autorów.

Tak samo czynią Francuzi i Rosyanie, Duńczycy i Skandynawowie. Na gwiazdkę pewnej małej znajomej postanowiłem kupić książkę z bajkami.

Słyszałem w kraju, że w tłumaczeniu angielskiem ukazały się prześliczne opowiadania Sieroszewskiego, wiedziałem, że istnieje przekład Sienkiewicza „W pustyni i w puszczy.“

Idę więc na poszukiwania.

W ogromnej księgarni przy Oxford-street ruch przedświąteczny. Wagony Robinsonów, Guliverów, Andersenów Grimów topnieją przed oczyma.

Proszę o książkę z opowiadaniami dla dzieci, ale polskiego autora, najchętniej Sienkiewicza lub Sieroszewskiego. Nazwisko wypisuję na kartce.

Po długiej chwili zjawia się księgarz z powrotem.

Niestety nie mam na składzie!

Próbuję gdzieindziej.

W Piccadilly przecisnąć się nie można.



Fot. Atelier „Rubens“ w Poznaniu.

Z godów weselnych w Żywcu: część prezentów ślubnych, brylantów, ofiarowanych arcyksiężniczce Mechtyldzie; w środku dyadem z dyamentów ofiarowany przez cesarza Franciszka Józefa.

Magazyn księgarski w oblężeniu; w oknach wystawowych wielojęzyczne sterty zadrukowanego papieru.

— Czy macie panowie jakąkolwiek książkę polskiego autora stósowną dla dzieci?

— Yes! Czy to ma być dla młodej lady, czy też dla gentlemana?

— Dla lady.

— W jakim kierunku kształci się ta młoda dama? Czy lubi sport, muzykę, podróże; może przepada za historyą?

— Pysznie kopie footbal i brzdąka na fortepianie, aż uszy puchną...

— Zrozumiałem. Pan żąda koniecznie polskiego autora?

— Koniecznie!...

Po długiem oczekiwaniu dostaję do rąk upragnioną książkę:

Tołstoj — „Sonata Kreuzerowska.“

— Bardzo stósowna dla młodych dam i pouczająca — zapewnił mnie z uśmiechem starannie wygolony jegomość.

Nie lubię pośpiesznie rezygnować z raz powziętych zamiarów. Obszedłem ze dwa tuziny księgarń: wszędzie ta sama odpowiedź: polskich autorów nie mamy na składzie. Nad wieczorem dopiero wynalazłem w trudzie i mozole Sienkewicza „Knights of the Cross“ (Krzyżacy) i przewidując rychły shoking całej rodziny mojej młodej przyjacółki, ofiarowałem jej książkę jedynego polskiego autora, wynalezionego po półdniowem poszukiwaniu. Rzadkie są w Anglii wzmianki o polskiej kulturze, pomimo, że tutejsza kolonia ma zdawna wyrobione stosunki, wpływy, posiada kapitały i nie szczędzi zabiegów na utrzymanie polskości wśród robotniczych naszych rzesz.

Przed kilku laty, podczas nawięzywania ściślejszych stosunków handlowych z Polską, wiele było dobrych chęci ze strony pewnych kół angielskich zaznajomienia się z naszem bogactwem intelektualnem; rozbiło się jednak o obojętność Polaków lub wreszcie o brak ludzi odpowiednich, którzyby umiejętnie pokierowali akcyą. Z licznego niegdyś grona ocalało kilka jednostek.

Fala powrotna wraca.

Tym razem oparta na miesięczniku literackim „Rhythm,“ którego duszą jest przyjaciółka Polaków, pani Katarzyna Mansfeld, ceniona poetka.

„Rhythm“ skupia na swych łamach pierwszorzędne talenta literackie Anglii i szczególną wagę przywiązywać ma do twórczości polskej.

W ostatnim zeszycie tego pisma pojawił się popularnie nakreślony szkic działalności Wyspiańskiego, pióra p. Floryana Sobieniowskiego — Krakowianina.

Pan Sobeniowski zgrabnie ujmuje postać poety, kreśląc jego zasługi na polu malarstwa, architektury i poezyi.

Z redakcyi „Rhythmu“ wyszła inicyatywa wystawienia na scenie londyńskiej „Sędziów“ Wyspiańskiego.

Podobno — w najbliższym sezonie — zamiar dojdzie do skutku.

* * *

Około dwudziestu Polaków przebywa nad Tamizą.

Rozrzuceni po fabrykach i warsztatach, luźne tylko utrzymują stosunki między sobą. System życia angielskiego,bardziej rodzinny i domowy nie pozwala na rozbudzenie jakiegoś silniejszego towarzyskiego zespołu. Na ogół jednak biorąc polska gromada w Londynie przedstawia się pod względem uświadomienia narodowego znacznie korzystniej niż w innych europejskich centrach n. p. w Paryżu lub Berlinie. Fala angielska zabiera stosunkowo bardzo nieliczny procent naszych

robotników i na palcach policzyć można te wyjątki, które „zapomniały“ mówić po polsku.

Przypisać to należy w znacznej mierze tutejszej kapelanii polskiej i odrębności kościoła anglikańskiego. Wyznanie było w tym wypadku silną zaporą, która broniła nasze emigranckie pokolenie od wynarodowienia.

Za to Polacy na gruncie londyńskim przyswoili sobie wiele zdobyczy kulturalnych. Jedną z nich jest t. zw. „kasa gwiazdkowa.“ Polega ona na tem, że pewna liczba członków zobowiązuje się składać oszczędności przez rok cały na ręce wybranego skarbnika, czy komitetu. Oszczędności raz włożonych kasa nie wydaje przed upływem roku. Bezpośrednio przed Bożem Narodzeniem następuje likwidacya instytucyi, pomyślanej zresztą nie dłużej jak na przeciąg roku. Każdy z członków odbiera swoje składki i odrazu staje się posiadaczem większej sumy.

Kasy takie cieszące się w Anglii wziętością i z powodzeniem przyjęły się między polskimi emigrantami.

Miło być świadkiem rozdzielania wkładek, zwłaszcza gdy się baczy, że rzemieślnicy nasi wycofują poważniejsze sumy — częstokroć dochodzące do 2000 marek. Widzi się wtenczas, że na gruncie angielskim „zła konieczność“ emigracyi choć wczęści opłaca te szkody, jakie ponosi naród wskutek ubytku ludności na swych ziemiach.

Znamiennym faktem jest, że przeważna część polskich oszczędności nie zostaje w bankach angielskich, ale umieszczaną bywa w instytucyach krajowych w Polsce. To jest najlepszą gwarancyą, że robotnik i rzemieślnik polski uważa pobyt w Anglii jako chwilowy, przejściowy rynek zbytu swej pracy i nie wyrzeka się na tułactwie tej myśli, że wrócić kiedyś przyjdzie na ojczysty zagon.

Grał.

Głosy od przyjaciół.

Berlin, 22 stycznia 1913.

Polacy pod zaborem pruskim a rosyjskim.

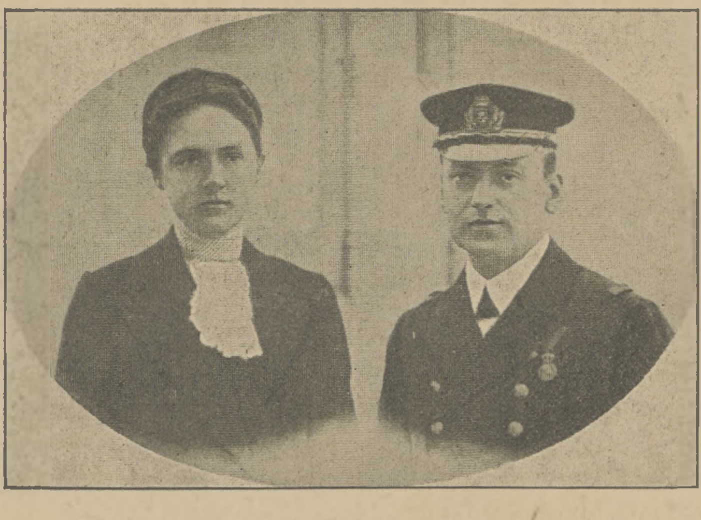
Podczas dwuletniego pobytu w Warszawie przekonałem się dostatecznie, że my Poznańczycy nie jesteśmy tam uważani za braci rodaków, o wiele więcej upośledzonych od Warszawiaków, którzy przeważnie w sferach robotniczych uważają nas za natrętów, albo też za swych przeciwników. Najwięcej uczuwają to ci Poznańczycy, którzy pracują w jednym interesie z Warszawiakami, okazującymi nam wiele pogardy i intrygującymi tak długo dopóki nam się to nie sprzykrzy i nie idziemy gdzieindziej szczęścia szukać, naturalnie z tym samym skutkiem. Tylko w niemieckich firmach ocenić nas umieją należycie. Jestto bardzo smutne i wcale nie pochlebne dla Warszawiaków.

Przed kilku miesiącami wydał p. Romocki w Kijowie książkę, w której okazuje nam Poznańczykom swoją nienawiść, bryzga na nas błotem, zarzuca nam Bóg wie co, a właśnie tylko dlatego, że jesteśmy Poznańczykami. Poważniejsze pisma skrytykowały ową nienawiścią do nas zionącą książkę, ale jestto bardzo smutne, że rodak w taki sposób wyraża się o swoich rodakach. Czyż za mało jeszcze nieszczęśliwi jesteśmy, że musimy się wzajemnie nienawidzieć?*)

Zarzucamy naszym przodkom, że przez niezgodę doprowadzili ojczyznę naszą do upadku, ale czyż poprawiliśmy się choć trochę pod tym względem? Zarzucają nam Królewiacy zmateryalizowanie nasze, czyż szukać go w tem, że handel i przemysł spoczywa w Poznańskiem częściowo w rękach polskich, że handel nasz się podnosi? Jeżeli tak, to radziłbym panom Królewiakom, żeby się chociaż trochę podobnym materyalizmem przejęli i gdyby to byli już dawniej zrobili, nie byliby żydzi zalali całej Kongresówki i nie uważaliby się tam panami wyłącznymi. Prawda, że rząd rosyjski wydala z granic państwa swego żydów a wszyscy osiadają w Polsce, ale gdyby ich w handlu i przemyśle nie popierano, wynieśliby się z pewnością gdzie indziej.

Już od trzech miesięcy trwa bojkot żydowski. Pesymiści nazywają go słomianym ogniem, wróżą mu, że skończy się takiem fiaskiem jak bojkot towarów pruskich. Daj Boże, żeby tym razem racyi nie mieli, bo czas, czas największy, żeby coś przedsięwziąć przeciwko tym żydom, którzy zanadto rozpanoszyli się w Polsce. Trochę zapóźno przejrzeli Polacy i zapóźno poznali się na grożącem im niebezpieczeństwie, bo większa połowa domów w Warszawie jest własnością żydów, a w małych miastach w Królestwie wszystkie prawie domy są w posiadaniu żydów, tak że chrześcijanie nie mogą składów zakładać, bo im po małych miastach żydzi składów wydzierżawić nie chcą. Jestto bardzo smutne, ale niestety prawdziwe. Czyż więc Królewiacy są tak doskonali, że nic im już zarzucić nie można? Oj możnaby im tak dużo zarzucić, a

*) Pan Romocki sam jest Poznańczykiem. — Przyp. Red.



Arcyksiężna Eleonora i małżonek jej Alfons Klose, porucznik okrętu liniowego.

Dnia 8-go stycznia odbył się w zamku arcyksięcia Karola Stefana ślub córki arc. Eleonory z porucznikiem okrętu liniowego Klossem. Ślubu udzielił ks. prałat Cecchoni z Wiednia w asystencyi proboszcza ks. Fatki z Żywca i ks. Kolbusza z Radziechowa. W obrzędzie ślubnym uczestniczyli rodzice panny młodej arcyks. Karol Stefan i arcyks. Marya Teresa, arcyks. Mechtylda z narzeczonym ks. Olgierdem Czartoryskim, ks. Hieronim Radziwiłł z małżonką arc. Renatą, synowie arcyks. Karola Stefana arc. Karol Albrecht, Wilhelm i Leona arcyks. Leopold Salwator z małżonką arc Blanką i córką arcyks. Maryą Dolores. O godz. 11-tej odbyło się dla gości weselnych w zamku śniadanie, poczem o godz. pół do 2-giej po poł. nowożeńcy odjechali automobilem do Bielska, a stamtąd koleją przez Wiedeń na południe na wyspę Brioni, gdzie zamieszkają przez czas jakiś. Stale mieszkać będą w Poli.

Do zamku żywieckiego nadeszło wiele podarków ślubnych. Cesarz Franciszek Józef ofiarował pannie młodej wspaniałą dyamentową biżuterye, matka arcyks. Marya Teresa łańcuch pereł i broszę brylantową w kształcie bukietu róż. Ojciec ofiarował oprócz pięknych, stylowych mebli szpilkę z dyamentów w kształcie kotwicy. Dla pana młodego ofiarowała arc. Eleonora szablę damasceńską z artystycznemi ozdobami. Z Polaków nadesłali podarunki: Ks. ks. Olgierd Czartoryski, Stanisławowa Izabella i Hieronimowa Radziwiłłowe, malarze polscy: Kossak, Axentowicz i Fałat (obrazy).

przedewszystkiem ich ospałość. Czyż mając tak wielkie kapitały nie mogliby zakładać mleczarń, których ogromny jest brak w Królestwie, dalej spółek rolniczych, gdzieby sprzedawać mogli gospodarze zboże, żeby nie byli przez żydów wyzyskiwani, spółek ogrodniczych, gdzieby obywatele ziemscy mogli sprzedawać owoce, ażeby ich żydzi nie wyzyskiwali i żeby nie mieli podczas lata tego nieprzyjemnego widoku tych wstrętnych żydów w swoich sadach. A jacy ci żydzi umieją być ordynarni na dzierżawie, jak marnują dobytek właściciela, to opowiedzieć trudno. Wiele możnaby jeszcze zarzucić braciom Królewiakom ,ale nie mam zamiaru ich wartości społecznej zmniejszać, gdyż przyznać każdy musi, że pod tym względem nie stoimy od nich na niższym szczeblu, więc niesłusznie nas nienawidzą, podczas gdy powinniśmy się wzajemnie wspierać i kochać, bo przecież jesteśmy wszyscy nieszczęśliwemi dziećmi wspólnej Matki Ojczyzny.

S. K.

Z TEATRU.

Aleksander Fredro: „Pan Jowialski.“

Zeszłej soboty ukazało się na scenie naszej jedno z arcydzieł literatury komedyowej polskiej, Fredry „Pan Jowialski.“

Sztuki tej nie dawano u nas od niepamiętnych czasów. Tem większa zasługa obecnej dyrekcyi, iż rzecz tę wyciągnęła z pyłu bibliotecznego na światło sceny.

Specyficznym rysem tej sztuki jak wogóle twórczości Fredry jest mistrzowski rysunek charakterów działających osób i znakomite uwydatnienie komiki, kryjącej się w ich istocie psychicznej. Komika sytuacyjna — choć nie skąpi jej bynajmniej Fredro — drugorzędną, pochodną odgrywa rolę, wynika ona nadto jak skutek z przyczyny, z komizmu działających osób tę komikę sytuacyjną wytwarzających. Figury te absorbują nas zupełnie i to tak dalece, że mało uwagi zwracamy na akcyę sztuki i zadzierżgnięcie i rozwiązanie intrygi.

Jasną tedy jest rzeczą, jak bardzo powodzenie tej komedyi zależne jest od gry aktorów. Mianowicie na dwóch postaciach koncentruje się uwaga widzów: na sypiącym przysłowiami i dykteryjkami Jowialskim i niezrównanym jego synu szambelanie, znającym tylko jedną namiętność: łowienie ptaków i budowanie dla nich klatek. Z ról tych znakomici artyści jak Rychter, Solski, Zelwerowicz robili i robią prawdziwe majstersztyki kunsztu aktorskiego. Na naszej scenie figury te w interpretacyi pp. Czerniaka i Szczurkiewicza wypadły bardzo ładnie, lecz niepodzielnie opanować wyobraźni widza nie zdołały. Widz wskutek tego począł się rozglądać w dość niewybrednej i naiwnej akcyi i intrydze sztuki i tracił z oka największą, wprost bezcenną jej zaletę, spoczywającą — jak powiedziano na wstępie — w mistrzowskim rysunku prawdziwie komicznych charakterów.

Reszta ról u pp. Królikowskiej, Lenartowiczowej, Pieńkowskiej, Kindlera i Mierzejewskiego w dobrych była rękach.

Publiczność szczelnie zapełniła teatr, dając tem dowód, jak bardzo ceni komedye Fredrowskie, i że potrafi uznać zabiegi dyrekcyi skierowane do podniesienia i uszlachetnienia repertuaru naszego.

R.

KTO

na czas zaabonował „Pracę“ na poczcie, a pisma nie otrzymuje regularnie, winien się zwrócić do tej poczty, u której prenumeratę wpłacił.

Ekspedycya nasza wysyła na pocztę główną w Poznaniu tyle egzemplarzy „Pracy,“ ile taż główna poczta zażąda. Ona też rozdziela otrzymane „Prace“ poszczególnym pocztom na prowincyi, te zaś abonentom.

Dopiero, gdy zażalenie na poczcie nie poskutkuje, należy się zwracać do nas

załączając znaczek 10 fenygowy na przesyłkę.

Wtedy nadeślemy brakujący egzemplarz i sami na poczcie zażalenie wniesiemy.

Prosimy nie zapominać nadesłania znaczka na frankaturę, gdyż inaczej reklamacyj uwzględniać nie możemy.

KRONIKA.

— **Oryginał ryciny** p. t. „Rok 1863. — Powstańcy osaczeni przez Moskali,“ której reprodukcyę zamieszczamy na stronie 113 malował Artur Grottger, wielkiej sławy malarz i rysownik polski.

— **Sprostowanie.** Pod ryciną, przedstawiającą zbiorową grupę weteranów z roku 1863/4, a zamieszczoną na stronie 70-tej w zeszycie 3-cim "Pracy" powinno być zamieszczone: Fot. Atelier „Rubens“ w Poznaniu, nie zaś, jak mylnie wydrukowano: Fot. „Camera.“ Z Śniegocki w Poznaniu.

— **Kursy hygieniczne dla pań i panien** z inteligencyi odbędą się znów w tym roku w pierwszej połowie marca. Bliższe wiadomości udzielone zostaną później. Kursy prócz ćwiczeń praktycznych w opatrywaniu i pielęgnowaniu chorych, będą obejmowały cały szereg wykładów ze wszystkich dziedzin hygieny i pielęgniarstwa, a urozmaicone będą kinematograficznem przedstawieniem życia bakteryi itd.

Dr. Adam Karwowski, sekretarz.
Św. Marcin 10

— **Dokończenie podpisów pań z Inowrocławia** z „Towarzystwa Samopomocy Naukowej Żeńskiej“ **pod odezwę pani A. Karwatowej z Wichulca** „Do autorów, autorek i miłośników sceny“ (patrz nr. 18-ty „Pracy“ z roku zeszłego na stronie 564 i 565): Gruszczyńska, Węclewska, Brodnicka, Kurkowiak, Kościelska, Borucka Ludwika, Buczkowska Celina, Badaszewska Stanisława, Czekała Apolonia, Banaszkiewicz Pelagia, Batog Marya, Kopeć Anna, Kopeć Janina, Konieczka Melania, Koralewska Marya, Moszczeńska Franciszka, Maciejczak Marya, Lewandowska Wacława, Okoniewska Stanisława, Okoniewska Weronika, Paryzek, Paryzek, Lewicka Wanda, Prus. Br., Żarniewicz Józefa, Kwiatkowska Fr., Gruszczyńska Klara, Petrykowska, Jałoszyńska, Thielmann, Tymkowska, Mendowska, Rutowska Aniela, Rutowska Salomea, Węcławska, Benedykcińska, Kamińska, Kamińska siostry, Cwedyk Leokadya, Nowak Delfina, Malińska Wiktorya, Gutorska Rozalia, Lempińska Katarzyna, Wolska Anna, Wolska Marya, Święcicka, Radomska Anna, Biegańska, Lewandowska, Skoblewska Wiktorya, Lewandowska Wiktorya, Paczkowska Marya, Rosińska Pelagia. Rosińska Genowefa, Ruczyńska Franciszka, Ruczyńska Zofia, Eleonora Kowalska, Dombek Juta.

— **Z miasta.** W ubiegłą niedzielę w południe o godz. 12-tej poświęcił ks. patron Adamski obszerne lokale hurtownego handlu towarów bawełnianych Textilia G. m. b H. przy ulicy Szerokiej nr. 20, w obecności Rady Nadzorczej, Zarządu i personału, życząc serdecznemi słowy jak najpomyślniejszego rozwoju. Potrzebę tego przedsiębiorstwa już od dawna odczuwało nasze kupiectwo i przez liczne przystąpienie z udziałami do Towarzystwa dało dowód, że umie ocenić ważność hurtownictwa w naszem społeczeństwie. Nie mniej licznie poparło spółkę nasze ziemiaństwo, któremu należy się uznanie za to, że nie tylko interesuje się sprawami je specyalnie obchodzącemi. Po usunięciu licznych trudności powstaje nowa ta instytucya na pewnych podstawach z poważnym kapitałem zakładowym 100.000 mrk. pod kierownictwem rutynowanego długoletniego fachowca p. Antoniego Łukowskiego, dotychczasowego dysponenta w firmie Hermann Tietz w Strassburgu i p. Kaźmierza Kużaja, który dotychczasową swoją działalnością jako fabrykant garderoby męskiej dał dowód ruchliwości i zabiegliwości. Rada nadzorcza, składająca się z pp. Dr. Hąci, Wł. Adamskiego, Fel. Mroczkiewicza, T. Weydmanna i B. Kasprowicza z Gniezna, służyć będzie Zarządowi radą i doświadczeniem, tak że towarzystwu rokować można dobre powodzenie.

Nie wątpimy, że kupiectwo nasze otoczy nowe to przedsiębiorstwo życzliwością.

— **Poznań - Wilda.** Towarzystwo Młodzieży polsko - katolickiej pod wezwaniem św. Jana Kantego (parafia Bożego Ciała) istniejące już od lat 8 wydało gorącą odezwę do Młodzieży, w której wykazuje korzyści, jakie mieć będzie z przynależenia do Towarzystwa, mianowicie

1. Przez odczyty, wykłady, deklamacye zapoznasz się z historyą i literaturą, kulturą polską.

2. Przez lekcye osobne poznasz gruntownie język ojczysty w nauczaniu zaniedbywany.

3. Przez sport i wspólne wycieczki hartować będziesz ciało Twe.

4. Przez śpiewy, wieczornice i zabawy pielęgnować będziesz towarzyskość.

Do Towarzystwa należeć może każdy nieposzlakowany młodzieniec, który ukończył naukę, z ukończonym 18-tym rokiem życia.

Zgłoszenia przyjmuje się na zebraniach, które odbywają się co 2-go niedzielę w lokalu posiedzeń Strumykowa 37 na Wildzie.

— **Odezwa.** Biuro Wydawnicze „Krakowskiej Delegacyi Towarzystwa Wzajemnej pomocy uczestników powstania z r. 1863/4“ wydawszy w 50-tą rocznicę powstania znaczki Jubileuszowe, zwraca się z prośbą do Towarzystw, instytucyj polskich i życzliwych osób o łaskawą pomoc w rozpowszechnieniu tych znaczków. W roku Jubileuszowym niepowinien żaden list, pocztówka, rachunek, pakiet, bilet wstępu do miejsc rozrywkowych obejść się bez znaczków, z których czysty dochód może się stać znaczną pomocą dla niezdolnych obecnie do pracy uczestników powstania, którzy krwią swą i poświęceniem dowiedli miłość ojczyzny.

Znaczków tych na żądanie dostarcza się również w osobno na ten cel wykonanych kopertach i mogą one stanowić ładne fanty przy różnych zabawach urządzonych w ciągu roku Jubileuszowego. Zamawiać można „W biurze Wydawniczem Krakowskiej Delegacyi Towarzystwa uczestników powstania z r. 1863/4 **w Krakowie** ulica Długa l. 10.

Wszystkie pisma polskie w kraju i zagranicą uprasza o powtórzenie tej odezwy.

— **Z prowincyi.** Szan. Redakcyi przesyłam wiersz, ułożony przez dominialnego włódarza Franciszka Nowaka z Złotnik pod Gąsawą i nadmieniam, że oprócz poprawionej ortografii — ani jeden wyraz nie został w nim zmieniony. Wiersz ten swym chlebodawcom, państwu Czarlińskim, zadeklamowała, jako niespodziankę 11-etnia córeczka wzmiankowanego włódarza w dzień wigilijny po rozdanej przez chlebodawców dzieciom gwiazdce i odśpiewanej przez nich kolędzie.

Racz Szan. Redakcya umieścić wiersz ten w „Pracy“ na dowód, jak oświeceńszy i lepiej uświadomiony lud nasz odczuwa wspólne nasze klęski narodowe.

Gorliwa czytelniczka „Pracy.“

Wiersz nadesłany brzmi jak następuje:

Może to dziś ostatni raz z rąk polskich gwiazdke bierzemy,
Niech Państwu Bóg błogosławi na tej ukochanej ziemi!
Panów naszych wywłaszczają,
Ze ziemi ich wyganiają,
Którzy z całej swojej siły
Trzymają się swojej ziemi.
Panów naszych wywłaszczają,
A obcymi obsadzają,
Obsadzają ją lutrami,
Tymi naszymi wrogami,
Nie dziwować nam się trzeba,
Gdy nam przyjdzie szukać chleba —
Gdy nie będziem mieć już ziemi —
Iść szukać między obcymi.
Prosimy Cię, Chryste Panie!
Miej nad nami zlitowanie!
Nie dopuść nam, Panie, tego,
Wychodzić z gniazda naszego!

Smutni! chorzy! wy, zamiast cieszyć się i leczyć, wolicie wzajem siebie smucić i kaleczyć.

Nekrologia.

† **Ś. p. Wanda z Jerońskich Berendesowa** dnia 18-go b. m. w Poznaniu, w 81-ym roku życia. — **Ś. p. Stanisław Łodzia Baranowski**, dnia 15-go b. m. w Krakowie, przeżywszy lat 75. — **Ś. p. Mieczysław Wrzesiński**, dnia 18-go b. m. w Poznaniu, w 33-cim roku życia. — **Ś. p. Julian Regulski**, dnia 18-go b. m. w Poznaniu, w 80-tym roku życia. — **Ś. p. Józef Niedzielski**, dnia 19-go b. m. w Niechanowie, przeżywszy lat 28. — **Ś. p. Andrzej Tabaczka**, dnia 17-go b. m. w Kawiarach pod Gnieznem. — **Ś. p. Józefa Dolata**, dnia 15-go b. m. w Gnieźnie. — **Ś. p. Marcin Nowak**, dnia 17-go b. m w Winnej w powiecie średzkim, przeżywszy 67 lat. — **Ś. p. Roman Banaszewski**, dnia 16-go b. m. w Gnieźnie, przeżywszy 27 lat. **Ś. p. Jan Maciejak**, dnia 18-go b. m. w Berlinie w 55-tym roku życia. — **Ś. p. z Dolîwów Falkowskich Salomea Wesołowska**, dnia 15-go b. m. w Ostrowie, przeżywszy 76 lat. — **Ś. p. Fabian Grzesiecki**, dnia 20-go b. w Poznaniu. Pogrzeb odbył się w Śremie, dnia 23-go b. m. — **Ś. p. Walerya z Brykczyńskich Rychlicka**, dnia 19-go b. m. w Poznaniu w 51-ym roku życia. — **Ś. p. Wacław Kubale**, weteran z roku 1863, dnia 20-go b. m. w Grodzisku. —

Od Redakcyi.

— **Panu G. w O. na obczyźnie.** — Odezwy nie otrzymaliśmy. Za słowa uznania dla „Pracy“ i polecenie jej w gronie przyjaciół i znajomych Bóg zapłać.

— **Panu Hieronimowi K. w Berlinie.** — Przyślij nam Szan. Pan pieniądze (2,32 mrk.), albo. co lepiej zapisz Szan. Pan wprost na poczcie z zażądaniem zeszytów już wyszłych.

— **Panu Nikodemowi K. w Frankfurcie nad Odrą.** — Poinformuj się Szan Pan w księgarni św. Wojciecha w Poznaniu co do odpowiedniej i najpraktyczniejszej książki.

Nowe książki i treść pism.

— **Album Stowarzyszenia Artystów** ukazał się w druku. Pozostawiając ocenę tego dzieła zbiorowego artystów Wielkopolskich krytyce zawodowej, pozwalamy sobie już teraz zaznaczyć, że zawiera on bardzo wiele ciekawych rzeczy literackich, i reprodukcyi dzieł sztuki Wielkopolskiej, a w wytwornej szacie zewnętrznej, w jaką go ubrał zakład litograficzny p. Fiedlera, nadaje się bardzo na podarki okolicznościowe tam, gdzie pielęgnuje się zmysł piękna. Nizka cena wydawnictwa 3 marki, umożliwi nabycie Albumu jaknajszerszym sferom.

Nabyć go można w Salonie Stowarzyszenia Artystów, plac Wilhelmowski 14 i w każdej księgarni.

Członków Stowarzyszenia Artystów, uprasza się o natychmiastowe nadsyłanie zaległych składek za rok ubiegły, po uregulowaniu ich otrzyma każdy członek Album gratis. **Zarząd.**

— **Kalendarz Sokolski na rok 1913.** Wydał Tadeusz Powidzki przy współpracownictwie szeregu druhów. (Stron 216, w oprawie płóciennej 70 fen.) — Jest to już trzeci rocznik „Kalendarza Sokolego,“ który okazał się niezbędnym w ręku każdego, zajmującego się szczerze sprawą sokolą. Oprócz kalendary-



Okrutny morderca.

Zuchwałego morderstwa dokonano w miejscowości Ortwig w Brandenburgii. W jasny dzień zamordowany został w celu rabunku zamożny posiedziciel Kalies, jego żona oraz służąca. Morderca wywiózł następnie trupy do poblizkiego stogu, podłożył pod niego ogień i stóg spalił się z trupami. Mordercą był ich parobek, który przybrał nazwisko Schön, a jest poszukiwanym od dawna Sternicklem, który przed 8-miu laty popełnił szereg zbrodni na Śląsku. Aresztowano też trzech jego wspólników, braci Kerstenów i Fr. Schliverta, którzy jeszcze nie przekroczyli 20-go roku życia. Aresztowani przyznali się do udziału w zbrodni.

Na obrazku widać Sternickla, jak go prowadzą po aresztowaniu.

um, notatnika i wyczerpujących wiadomości o Związku Sokolstwa polskiego w zaborze pruskim i austryackim, oprócz informacyi o Sokolstwie polskiem w Ameryce i Sokolstwie poszczególnych narodów słowiańskich, zawiera wspomniany „Kalendarz“ szereg ciekawych artykułów, które zainteresować powinny każdego, komu siła i tężyzna naszego społeczeństwa leży na sercu.

. Nie potrzebujemy wreszcie chyba dodawać, że „Kalendarz Sokoli“ powinien być obowiązkowo w posiadaniu każdego Sokoła, tem bardziej, że ozdobiony licznemi ilustracyami i w trwałą zaopatrzony oprawę, kosztuje tylko 70 fen. Z zamówieniami należy się zwracać wprost do wydawcy: (T. Powidzki w Poznaniu, ul. św. Marcina 63).

— **„Odnowienie kapłana w Chrystusie.“** Napisał ks. dr. H. Ludwigs, kanonik w Kolonii, przetłumaczył ks. J. Bielicki proboszcz w Błędowie. Z aprobatą konsystorza w Włocławku. — Mikołów nakładem K. Miarki Sp. z ogr. por. 1913 r.

Milutka to książeczka, o 144 stronach, i oprawna zgrabnie. Każdy kapłan bierze ją z chęcią do ręki i zagląda do niej ciekawie. Celem jej jest wzniecanie łask, jakie kapłan otrzymał podczas święceń. Resusites gratiam Dei, quae est in te II. Tun. I. 6., a przez to odnowisz się w Chrystusie. Autor przechodzi najważniejsze w życiu kapłana chwile — przed święceniami, podczas święceń niższych i wyższych, przed prymicyami, i po prymicyach....

Wreszcie przypomina mu władzę i łaski jakie otrzymała i zachęca: — resusites ergo gratiam, Dei, quae est in te. Zalecamy każdemu kapłanowi te książkę do codziennych Medytacyj. Tłumaczenie nie jest zupełnie poprawne.

— **„Słownik Rzemieślniczy ilustrowany“** wychodzi w Warszawie. Słownik jest ułożony rzeczowo podług działów z dodaniem tłomaczenia na język niemiecki, rosyjski i angielski, by uwzględnić potrzeby wszystkich naszych dzielnic, nie wyłączając kolonij polskich w Stanach Zjednoczonych. Zrozumienie nazw ułatwiają jeszcze rysunki umieszczone obok. Na końcu dodany jest skorowidz alfabetyczny nazw we wszystkich czterech językach.

Wydawnictwem zajmuje się Delegacya Słownikowa V. Zjazdu Techników Polskich do ustalenia Słownictwa Rzemieślniczego przy współudziale przedstawicieli: Akademii Umiejętności w Krakowie, Politechniki we Lwowie, Towarzystwa Politechn. we Lwowie, Tow. Technicznego w Krakowie, Towarz. Przyjaciół Nauk w Poznaniu, Stowarzyszenia Techników w Łodzi, Stowarzyszenia Techn. w Warszawie. Siedziba Delegacyi słownikowej: Warszawa, Włodzimierska nr. 3/5. Stowarzyszenie Techników.

— **Alkohol a miłość** dra Karola Zaleskiego z Sanoka. Wydanie drugie. Autor pod postacią skromnej, popularnej rozprawki chciał widocznie „przemycić“ bardzo wiele i przyznać trzeba, że mu się to znakomicie udało. Cena książeczki z przesyłką naznaczona: 30 fen. - - 35 hal. — 20 kop. Dla życzących rozszerzyć pożyteczną tę rozprawkę cena jest zniżona za 100 okazów: 10 M. — 12 kor. — 5 rubli; przy większej ilości jeszcze taniej.

Znakomita książeczka ta wydaną została nakładem redakcyi „Przewodnika Zdrowia“ (Czarnowski, Berlin, Weissenburgerstr. 27), atoli nabywać ją można także przez każdą księgarnię.

— **Jak powinien mniejszy rzemieślnik prowadzić książki?** podał Sylwester Bizan. Wydanie drugie opuściło prasę i jest do nabycia we wszystkich księgarniach. Skład główny w księgarni W. Templowicza w Poznaniu. Cena 30 fen. Pierwszy nakład tego dziełka wyczerpał się w przeciągu trzech tygodni i dla tego wydał autor drugi nakład w ilości 10 tysięcy egzemplarzy, co umożliwiło zniżenie ceny do połowy. Część drugiego nakładu wyszła na lepszym papierze i kosztuje jak dotychczas 60 fen.

Dziełko to powinno mieć dostęp do szerokich kół rzemieślniczych, a przedewszystkiem powinno dotrzeć do młodzieży rzemieślniczej, aby ta przejęła zasadę prowadzenia książek

Książkowość to droga do dobrobytu, bo kto prowadzi książki, ten kontroluje samego siebie i przez to nauczy się myśleć, pracować i oszczędzać.

Niesprawiedliwość ludzkie rozdziela plemiona, chociaż wyszliśmy z jednej matki łona.

Nadesłano.

— **Nowy polski magazyn tapet** otworzono w Poznaniu przy ul. Wrocławskiej 13, (gdzie dawniej „Nowa Spółka Stolarska“) pod firmą „Orwat.“ Młode to przedsiębiorstwo zasługuje faktycznie na poparcie, gdyż, jak nas zapewniono, właściciele starać się będą obcej konkurencyi sprostać pod każdym względem. Tak nadzwyczaj nizkie ceny jak przeogromny wybór każdego rodzaju deseni w przepięknie zestawionych kolorach zadowolą z pewnością wszystkie możliwe żądania. Biorąc na uwagę i to jeszcze, że właściciele poczynili zakupna osobiście w fabrykach, można się spodziewać że magazyn ów będzie jednym z tych przedsiębiorstw, dla których nie istnieje konkurencya.



Rok 1863. — Powstańcy osaczeni przez Moskali.

Przysługa.

Wspomnienie przygotowań do powstania 1863 r.

(Autentyczne).

Spotkali się na cmentarzu. Stary odgarniał śnieg dokoła grobu żony, a zwyczajem samotnych cichym, drżącym głosem uskarżał się w grobie pochowanej. Skorzystał z tego młody, któremu oczy iskrami świeciły, rzucając z współczuciem:

— Oj, ciężka dola!

— Niech każdy własną dźwiga — obruknął stary.

— A jednak serdeczne współczucie kwiatem ulgi zowią. Wy panie, pochowaliście żonę w tym grobie, tęsknicie za nią, łakniecie jej łagodnego słowa, jej spojrzeń miłych, jej łzawych uśmiechów.

— Czyś ty ją znał młodzieńcze?

— Nie, ale znam boleść, Wam głos drga łzami, choć suche wasze oczy. Odeszła od was ta, która była wam wszystkiem w życiu, promykiem słońca i uśmiechem wśród doli twardej. Z nią pochowaliśnie świat cały, własne serce i duszę razem z nią chowaliście do grobu.

— Chowałem — a jako cień snuję się po ziemi.

— Lecz wskrzesić jeszcze siebie możecie.

— Przez co?

— Przez czyn. Duch żony waszej nad wami czuwać będzie, aby wasz duch w bezczynie nie zmarniał. Jako wy, panie, płaczecie straty najdroższej kobiety tak naród boleje nad utratą ojczyzny. A jeśli dla niej poświęcicie myśl i waszą pracę, otucha i zapał uczynią was młodym.

— Cóż ja dla niej mogę?

— Wiele, byleby myśl wasza dla ojczyzny żyła, byleby serce biło tylko dla niej, a czyn powstanie!

Długo mówił młodzieniec z uniesieniem. Stary słuchał, a twarz jego nabierała coraz więcej życia, przygasłe oczy jaśniały radością.

Szli obok siebie — młody i stary. Mimo różnicy wieku serca ich biły równem tętnem, myśl ich nadziei pełna wybiegała w błękit pogodnego nieba i modliła się do Królowej niebios o pomoc.

Oboje żyli jedną wiarą.

* * *

Przed niski domek zajechał wóz drabiasty. Z poza szczebli wyglądała słoma, wierzchem też tylko snopek widniał. Sądzićby można, że słomę na sprzedaż na targ wieziono. Ale zbyt poważna twarz woźnicy i jeszcze poważniejsza twarz młodzieńca siedzącego w słomie kazały się domyślać, że oni jakąś ważną w tajemnicy powierzoną odprawiali misyę. Nikt jednak na nich nie zwrócił uwagi, bo szarzało się dopiero, a tylko kopyta końskie i turkot kół ich zdradzały. Ale i te ucichły, bo wóz przystanął. Młodzieniec zręcznie zeskoczył, a rzuciwszy porozumiewawcze spojrzenie w stronę woźnicy znikł w ciasnej sieni.

Wnet wrócił, śmiałym ruchem porozgarniał słomę i duża, ciemna paka zaciężyła na jego szczupłych ramionach. Ledwo się z tym ciężarem przez sień przecisnąć zdołał.

Zaskrzypiały drzwi otwierane. Miłe ciepło buchnęło z obszernej izby. Stary odebrał ciężar od młodzieńca, oboje wsunęli go potem pod łóżko. Powtórzyli to kilka razy w milczeniu przejęci jedną myślą, że słów nie potrzebowali. Ciężkich wałów wciąż przybywało, pod łóżkiem miejsca zabrakło, więc paki pod ścianą układali w stos wysoki. Młodzieniec znosił dopóki wozu nie wypróżnił, że tylko sama słoma pozostała. Stary krzątał się po izbie, ciemne pakunki pod ścianą okrył dużym szmatem. Twarz jego przy migocącem, olejowem świetle mimo siwizny włosów ją okalających wydała się młodą, bo rzadkie u starców krasiło ją ożywienie.

Młodzieniec drzwi zamknął, podał staremu list zapieczętowany, a na sto-

le nieco złotej i srebrnej monety położył mówiąc:

— Zaliczka od rządu narodowego.

Stary pieniądze ze stołu zebrał, w dłonie młodzieńca na powrót wciskał. Młody wahał się odebrać, a stary nalegał:

— Przyda się wam lepiej niż mnie staremu. Przytem z uśmiechem naiwnej radości wyjął z kieszeni kwiecistej kamizelki ciężki, srebrny zegarek i oddał go młodzieńcowi.

— I to się przyda, spieniężcie!

Młody ze łzami w oczach przyjął, starannie schował, serdecznie uścisnął ręce starego i wybiegł spiesznie.

Stary krzyż za odchodzącym naznaczył, drzwi zamknął, rygiel zasunął. Potem ukląkł przed obrazem Matki Boskiej Częstochowskiej i modlił się za ojczyznę. Słowa gorące łkaniem przerywane zdawały się rozpływać przed obrazem w woń kadzielnianą. Bo dusza starca płonęła żywą wiarą.

* * *

Stary był krawcem. Rzetelną pracą uciułał sobie nieco grosza, więc starość mógł pędzić bez troski. Zdawało się jemu, że po życiu pełnem trudów, spokoju dni ostatnich nic mu nie

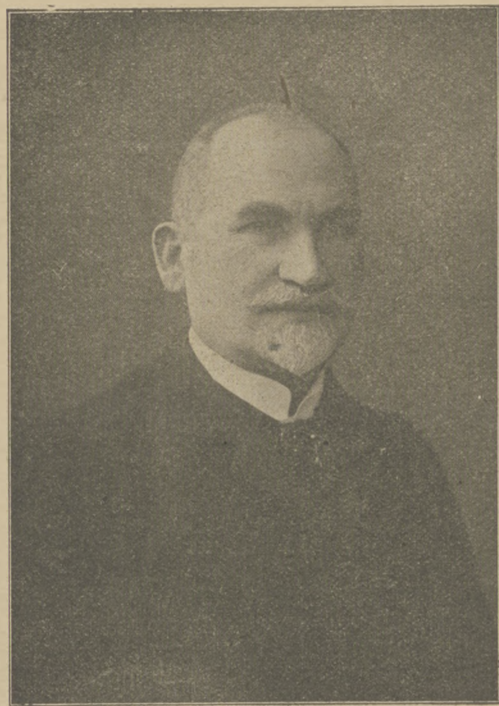


Fot. „Camera“ — Z. Śniegocki w Poznaniu.

Jan Mikołajczak z Poznania

jako 20-to letni młodzieniec poszedł do powstania z kilkoma towarzyszami. Kowal z Przemysławia przeprowadził ich borem Śmiełowskim przez Prosnę do obozu pod Pyzdrami, gdzie przydzielony został do II. kompanii strzelców. Kapitanem jego był Żółtowski, były oficer pruski. Po rozpoczęciu batalii został raniony w nogę i ogłuszony kartaczami. Był bezprzytomny, gdy go razem z mniej więcej 60 rannymi zabrał z pola bitwy ś. p. Niegolewski, ówczesny właściciel Komorza i Włościejewek. Rannych złożono na sali w Komorzu, a zmarłych tamże około 26 towarzyszów pochowano na cmentarzu w Kretkowie.

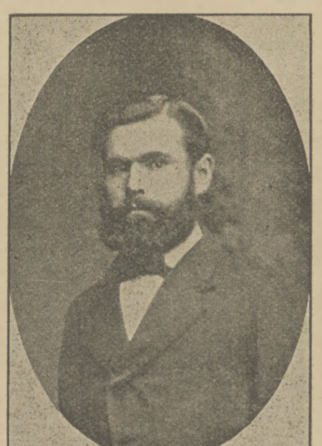
Pan M. po kilku tygodniach przyszedł do zdrowia, a ponieważ władał językiem niemieckim, zatrzymał go p. Niegolewski do roznoszenia depesz. Miał powierzone różne ważne sprawy, które nieraz wypełniał z narażeniem życia. Znany był ztąd pod nazwą „Jaśko z nad granicy.“ Właściwe nazwisko „Jaśka“ znał tylko ś. p. Niegolewski i jego stary służący Skorupski.



Profesor Dr. Antoni Drygas z Poznania,

długoletni gorliwy prezes Towarzystwa Przemysłowego w Poznaniu, brał udział w powstaniu styczniowem jako ułan w obozie generała Taczanowskiego, gdzie przebywał od początku aż do rozbicia obozu.

zamąci. Często myślał o śmierci, czekał jej prawie. Nigdy nie przypuszczał, aby żona lat kilka młodsza od niego wpierw świat ten opuścić miała. Lecz teraz nie smucił się jej nieobecnością, praca wypełniała mu dni i noce. Czuł się niewyczerpanym. Wysuwał paki z pod łóżka, a były to wały sukna ciemnego na płaszcze dla powstańców. Rozkładał ten gruby, ciemno



Fot. „Camera“ — Z. Śniegocki w Poznaniu.

Wojciech Nowakowski z Poznania

brał udział w powstaniu styczniowem pod dowództwem Ganiera.

Dnia 3-go sierpnia 1863-go roku zebrało się nas powstańców około 500 w boru Miłosławskim, zkąd wyruszyliśmy wieczorem ku granicy, zamierzając przejść ją pod Pyzdrami. Na granicy zaczepiło nas wojsko pruskie, ukryte w życie i rozpędziło powstańców po większej części. Tylko w liczbie około 100 udało się nam przedostać przez granicę pruską. Pod Pyzdrami ulokowano nas na wozach, aby nas zawieść do obozu Taczanowskiego. Jednakże po bezskutecznem szukaniu obozu Taczanowskiego zmuszeni byliśmy cofnąć się do Prus.

brunatny materyał na podłodze, odmierzał, rysował kredą, odcinał szmaty całe. Uśmiechał się do siebie, stare kości wyciągał. Czuł się pożytecznym — czuł się szczęśliwym. W uniesieniu pracował, modlił się chwilami, wzrok ku obrazom świętych zwracał i szył i szył. W nocy spać nie mógł, tak go gnała nieprzeparta chęć do pracy. Jadła nie pragnął i tylko wodę pił, czuł we krwi taką niewyczerpaną krynicę ciepła, że aż się chłodził zimną wodą. Gorzało w nim uczucie wielkie — miłości ojczyzny.

Przeżywał piękne dni. Żył w nieprzerwanem i niczem nie zamąconem uniesieniu. Szył i szył wytrwale, sam podziwiał zkąd mu się tyle mocy bierze. Płaszcze wykończał, a każdy ścieg przy nich łączył z myślą o ojczyźnie, o jej wolności i chwale. Opadały go chwilami wizye cudne. Widział szeregi wojsk polskich, odziane w płaszcze szyte przez niego, słyszał pochwały płynące ku niemu. Serce i dusza w nim rosły. Ramiona szerzył do tych widm kochanych, do tych wiernych obrońców ojczyzny, którym dane mu było szyć płaszcze. Zaszczytu do-



Fot. „Camera“ — Z. Śniegocki w Poznaniu.

Ignacy Andrzejewski z Poznania,

dzielny Polak, gorący patryota, prezes Sokoła jeżyckiego, zmarły przed kilkunastu laty w Poznaniu, brał gorliwy udział w powstaniu styczniowem i walczył między innemi mężnie w bitwach pod Ignacewem i Nową Wsią.

stąpił, czuł się w szeregi powstańcze wciągniętym, czuł się ofiarnikiem, który dawał to, na co go stać było, bo dawał swą pracę i najczystsze uczucia. — Nic mu nie dolegało. Cieszył się, że go nikt nie odwiedzał i nie przeszkadzał w pracy. Niedawno jeszcze żywił do znajomych i do tak zwanych przyjaciół żal, że zapomnieli o nim. Dopóki niebo żony mu nie zabrało, zawsze znalazła się przekąska dla gościa, ciepła herbatka, w lecie chłodne piwo, to i pogawędka przeciągała się długo, gdy tematem były owe dawne, dobre czasy. Były to chwile jasne pogodnego współżycia z ludźmi. Po śmierci żony odwiedził krawca jeden i drugi znajo-



Grupa powstańców z 1863-go roku.

Oryginał: własność pana Tadeusza Adamczewskiego z Dachowy.

Klisza sporządzona z obrazka, sfotografowanego na tle murów fortecy, w której powstańcy odsiadywali kaźń więzienną.

Fotografia niestety nie była dobrze zachowana, ucierpiała od wilgoci. Jak widzimy, niektóre twarze zupełnie wypełzły, inne są częściowo zniszczone, lecz większość utrzymała się dość dobrze, tak że twarze rozpoznać można dostatecznie.

Podpisy pod ryciną położone są ręką Bogumiła Adamczewskiego, ale nie wiadomo, w jakim następują porządku, czy rozpoczęto od pierwszego, czy też od ostatniego rzędu. Na odwrotnej stronie oryginału znajduje się 17 własnoręcznych podpisów powstańców. Osoby na fotografii zobrazowane miały pochodzić z Królestwa i Litwy, zdaje się jednak, że nie brak tam było także Wielkopolan.

---

my z wątpliwej wartości pocieszeniem, a nie doczekawszy się dawnego przyjęcia nie pojawiał się więcej. Przeto gorycz wgryzała się w serce starca, unikał ludzi, na cmentarz unosząc swe osamotnienie. Było tak i minęło. — Teraz zupełnie inaczej. Ma pracę, którą żyje, nie trzeba mu ludzi. Oby tak całe życie przepędzić myśli stary rozkładając ostatni wał sukna na podłodze. Ręce mu się trzęsą, a jemu się zdaje, że życie dla niego się dopiero otwiera, że rozpocznie nowy okres bytu na ziemi. Dziwna, nieznana rzewność go rozpiera, oczy się łzawią, a on na nic nie zważa, tylko spieszy z przykrawaniem przy zupełnej zatracie świadomości ubiegającego czasu. Zegar już od dni kilku nie tykoce i tylko ciemność po zachodzie słońca uświadamia go o nadejściu nocy. Lecz stary ani myśli odpocząć, zapala staroświecką, olejową lampkę i przy jej wątłem świetle szyje, szyje bez przerwy. A wyczerpania nie odczuwa; robota na ukończeniu, a jego zda się ogarniają nowe prądy siły. Z niewytłomaczonym pospiechem wykończa płaszcze, aż do ostatniego guzików zabrakło. Energicznym ruchem prawie bez namysłu odpruwa guziki od własnego surduta i drżąc cały jakby z uciechy przyszywa je do płaszcza. Praca skończona. Olejowa lampka gaśnie, płomyk jej raz po raz zamigoce z trudem, a stary układa płaszcze w wzorowym porządku na łóżku i stole. A jest ich moc cała, izba przekształciła się na istny magazyn gotowej garderoby. Stary rozmiłowanym wzrokiem patrzy na pracę rąk swoich. Dokonał dzieła, dokonał! W tej chwili lampka gaśnie zupełnie i wizye wojsk nieprzejrzanych stają przed krawcem. A on marzy, że powlecze stare kości na plac boju. Taka jasność myśli, uczuć go ogarnia i niczem nie zamącone zadowolenie. Tak mu dobrze jak nigdy dotąd, że wydziwić się nie może, iż taka doskonałość ludzi grzesznych już na ziemi spotkać może. Coraz mu jaśniej przed oczami, widzi przestrzeń z obłoków i światła, słońca coraz więcej, a usta drżą korną modlitwą:

Zbawienia, zbawienia dla ojczyzny!

* * *

I znów zajechał drabiasty wóz przed mały domek. Młodzieniec zeskoczył z niego i pospieszył w sień. Pukał do drzwi sobie znanych, ale daremnie, nikt nie otwierał. Niezamącona niczem cisza panowała dokoła. Młodzieniec tknięty niemiłem przeczuciem stał chwilę bezradny. Potem zaszedł w podwórze, poznał okno izby krawca i bez długiego namysłu wytłoczył szybę. Lecz otwór był zbyt mały, aby się przezeń człowiek mógł przedostać, więc wszystką siłą młodych ramion rozłamał krzyżujące się ramy okna, które pękały z niemiłym trzaskiem. Już teraz swobodnie wskoczył do izby.

Właśnie pierwsze promienie jutrzenki rozpraszały ciemności. Młodzieniec w jednej chwili odgadł, co się stało. Stary leżał nieruchomie na podłodze, nie żył. Różowe promienie barwiły cudownie tę siwą głowę, a zastygły uśmiech zdawał się drgać życiem. Tchnęła z tej twarzy radość spełnionego obowiązku.

Młodzieniec zasmucił się szczerze, z uszanowaniem ucałował lodowate czoło zmarłego. — Następnie odsunął rygle drzwi, cicho powynosił gotowe płaszcze na wóz drabiasty. A ostatnim ciężarem, jaki wespół z woźnicą z izdebki wyniósł, był trup starego. Ostrożnie ułożyli go na płaszczach i słomą pokryli. Pospiesznie ruszyli w drogę. Pogodne czoło młodzieńca posępniało.

W sporem oddaleniu od miasta przystanęli. Wśród zaśnieżonych pól wykopali dół niewielki. W jeden z nowych płaszczy otulili starego i pochowali go bez trumny wśród samej ziemi ojczystej. I tylko wschodzące jasno słońce było świadkiem tej czynności.

— Pierwsza ofiara, pierwsza ofiara — powtarzał głucho młodzieniec. A w pełnej dotąd nadziei duszy jego zrodziło się bolesne przeczucie samych krwawych ofiar.

Jula Męcińska.

W pięćdziesiątą rocznicę.

Żywym i poległym rycerzom narodowym i obrońcom idei wolnościowej z roku 1863, a specyalnie weteranowi p. drowi M. Ziółkowskiemu dedykuję.

Król Duch Narodu z Was swe bierze moce:
Z krwi Waszej stygmat, z ducha namaszczenie, —
Na wzejście jutrzni — gdzie bezgwiezdne noce...
— Na feniksowe nasze odrodzenie!...
Przed Wami naród cały chyląc czołem,
Świetlanych ekstaz dziś się objął kołem.
Anna Eugenia z Balińskich Piechowska.

Dziś ziemia stała się towarem, jak i wszystko, ale nią nie była dawniej. Przywykliśmy większą do niej przywiązywać wagę, a ktoby lada groszowitemu przyblędzie dla garści pieniędzy marnych, zbył ojcowiznę, oczówby między ludzi pokazać nie śmiał.

* * *

Bóg próbuje, Bóg często upadkiem zmusza do podźwignięcia się człowieka.

Szczęście w małżeństwie.

Dzisiejsza kobieta nie znajduje w małżeństwie pełnego szczęścia. Być może, że nie zawsze zdaje sobie sprawę z tego, lecz czuje, że nie jest tak jakby pragnęła.

Wychowanie zaleca kobiecie rezygnacyę w razie niedobrania się w małżeństwie i trwania w niem, z racyi nierozerwalności jego: dla uczynienia współżycia zgodnem, przykładnem przez podporządkowanie swych potrzeb, upodobań i dążeń, chęciom i kaprysom męża.

Bo zawsze o to chodzi, by ta druga strona była zadowolona ze swego gniazdka. Od męża bowiem zależy zwykle trwałość małżeństwa. Nie znajdując w domu uległości, spokoju, zadowolenia, ma możność szukać ich poza domem, a która z żon, nawet kosztem upokorzenia się, złamania siebie — zgodzi się na to?

Dlaczego dziś wyraziściej, niż kiedykolwiek dają się odczuwać rozdźwięki w małżeństwie? Powody widzimy jedynie w tem, że mężczyzna i dziś mniej więcej stoi na tym samym stopniu kultury duchowej, co i dawniej, podczas gdy kobieta w rozwoju psychicznym prześcignęła go stanowczo. Wysubtelniła się uczuciowo, etycznie, estetycznie. A więc potrzeby i wymagania jej indywidualne wzrosły.

Kiedy dawniej wystarczającą była dla kobiety miłość zmysłowa mężczyzny i jego opieka materyalna, dziś pragnie ona całkowitej jego miłości, jaką tylko jednostka zupełnie rozwinięta dawać potrafi.

Dzisiejsze czasy szczególniej przyczyniają się do deprawowania miłości przez wielu mężczyzn. Oni tak nawykają do rozpraszania swoich uczuć erotycznych na różne strony, między tyle kobiet je dzielą, że potem, w małżeńskiem pożyciu wprost nie zostaje im nic do ofiarowania swym dozgonnym towarzyszkom.

A żona, dotychczas będąc tylko ofiarodawczynią, dziś i sama pragnie odbierać.

Mężczyzna mało, albo nic o tem nie wie. Dając z siebie okruchy, jak dotychczas, sądzi, że to wystarcza żonie, że przyczyna niezadowolenia tkwi w czem innem. A ona, jak zwykle, milczy.

Dzisiejsze pożycie małżonków jest nieustannem, nieświadomem, może instynktownem ubieganiem się każdego o zdobycie w domu możliwie największej ilości wpływu, przywilejów, wygód na rzecz swoją: ciągłem zmaganiem się dwóch indywidualności. Silniejsza łamie słabszą, i stosownie do tego, jedna ze stron musi ponosić cały ciężar więzów ją krępujących, jak dotychczas kobietę, gdyż nie umie walczyć tą samą bronią brutalności i egoizmu, które przez wychowanie stały się głównemi cechami mężczyzny. A im więcej wyrobiona jest indywidualnie, tem więcej czuje się pokrzywdzona w swem prawie do osobistego szczęścia. I w większej części wypadków rezygnuje z niego, godzi się z rzeczywistością, jako z czemś koniecznem: i dzieci, jeśli je ma, stają się dla niej jedyną ostoją w życiu.

Czy są środki zaradcze dla zdobycia zupełnego szczęścia w małżeństwie?

Na to trzeba przyszłości, wychowania całego pokolenia męskiego w innych ideałach erotycznych, wpajania innych poglądów w kobietę.

Tegoroczne mody męskie.

Jakaś rzeczywista nowość w dziedzinie mody męskiej należy, jak wiadomo, do „największych nadzwyczajności“, lecz nowość, którą można nazwać ładną i której długie można przepowiedzieć panowanie, jest wprost „niezwykłym wyjątkiem!

Na obecną zimę eksportuje nam Anglia „absolutną“ nowość, zaliczając ją do tych właśnie wyjątków. Jest to *kapelusz*.

Każdemu zapewne podpadło, że zimą, na ulicy jest widok szeregu sztywnych, okrągłych i czarnych kapeluszy, nudnym, wcale nie zajmującym i kompletnie „bez charakteru“. Brzydkie te kapelusze nazywają Francuzi słusznie „melonami“. Możliwość jakiejkolwiekbądź elegancyi jest minimalną. Z daleka wygląda kapelusz taki za sześć marek zupełnie tak samo, jak za trzydzieści. Jeżeli powietrze jest dżdżyste, albo modzie się podoba zarzucić go na czas pewien, to cylinder bywa wykluczonym i na ulicach nie widać nic innego, jak nieskończony łańcuch owych czarnych melonów.

A przecież przez jakie lat dwadzieścia lub trzydzieści nie wymyślono nic innego. Próba z miękkiemi, zielonemi kapeluszami nie udała się, zielony kapelusz wygląda zawsze trochę niedbale.



Kwestarze.

Można go nosić od biedy na wiosnę i z początkiem jesieni — później już chyba tylko przed południem, zimą zaś wcale nie.

Londyńską modą obecną jest kapelusz miękki, w środku lekko wgięty, koloru popielatego, z włochatego filcu. Długie włosy mają srebrny połysk, kolor jest właśnie *„juste milieu“*, nie za jasny i nie za ciemny, tak, że kapelusz ten można nosić do popielatego płaszcza i do czarnego zimowego paletota, mianowicie, jeżeli się ma jeszcze popielate rękawiczki i popielate kamasze. Jest to słowem kapelusz modny, ładny i elegancki, tworzący bardzo dodatni kontrast z czarnemi, dotychczasowemi „melonami“. Skromniejszym bratem nowego przybysza z Anglii jest ciemno popielaty, zupełnie miękki kapelusz pluszowy, stosowny jednak tylko na podróż, na polowanie i w mieście na rano. Cylinder wrócił także z wygnania, w którem od dawna przebywał — trzeba go nawet nosić koniecznie do żakieta, do którego dawniej tylko okrągły kapelusz był możliwym. Nowa forma jest trochę mniejsza, brzeg zaś nieco odwinięty.

Lecz przejdziemy do poważniejszych przedmiotów. Naprzykład do podstawy wszelkiej garderoby męskiej, t. j. do *sakko*. Modne materye są w tym roku wszystkie nieomal w kolorze popielatym najrozmaitszych odcieni, lecz widać też bronzowe, stalowe i w pasy. Spodnie muszą być zawsze z tego samego materyału, podczas kiedy do czarnych lub bardzo ciemnych sakko trzeba je mieć w paski. Sakko może być albo na dwa rzędy o dwóch lub trzech guzikach, albo na jeden rząd o trzech guzikach, lecz w każdym razie powinno być cokolwiek wygięte i nie za długie. Spodnie do wszelkich ubrań są u góry szersze, na dole zaś węższe. Do sakka można je zawinąć — lecz, ten ktoby je zawinął do żakieta, zostałby wykreślony raz na zawsze z listy ludzi przyzwoitych.

Żakiet ukazuje się pod dwiema postaciami. Jeden z nich, wyraźnie angielski, noszą młodzi eleganci i śpiewacy z opery, drugi, wiedeński, noszą wszyscy inni eleganccy mężczyźni.

Zacznijmy od angielskiego.

Ma on w przodku jeden tylko guzik i dlatego bardzo głęboko jest wyciętym. W logicznej konsekwencyi trzeba mieć do tego modną westkę, jednokolorową o delikatnej, pastelowej barwie, i dwóch rzędach guzików. Żakiet wiedeński ma dwa guziki, jest wyżej zapięty, westka powinna być z tej samej materyi, widniejąca trochę tylko z poza wycięcia żakieta. Jeden i drugi żakiet może być czarny lub ciemno popielaty i nie ma żadnej zewnętrznej kieszeni.

Smoking pozostał nadal ulubionym strojem wieczornym. Kołnierz fasonowy jest modniejszy niż szalowy, smoking sam zaś dosyć długi, niepostrzeżenie w pasie wcięty i ku dołowi miernie wygięty. Czarna westka jest na dwa rzędy guzików, biała na jeden rząd.

Paletot zimowy żadnej prawie nie uległ zmianie, prosty, gładki jak dotąd, z ciemnej materyi i ozdobiony aksamitnym kołnierzem — taki jest najmodniejszy. Tu i owdzie widać paletoty wcinane do figury, ale i te były już dawniej.

O futrze i fraku pomówimy na inny raz, dziś tylko dodam jeszcze kilka słów o koszulach i krawatkach. Koszule mają znów przodki krótkie i sztywne — dzienne mogą być albo białe i wtedy mają przodki pikowe, albo czarne o niebieskich kratkowanych, zefirowych przodkach.

Krawatki są najmodniejsze ciemne — w rozmaitych kolorach, szpilek nikt już prawie nie nosi, chyba, że ktoś chce się poszczycić jakimś niezwykle pięknym brylantem lub kosztowną perłą.

Ale prawda! Mężczyźni nie wiedzą

przecież, co próżność i nie zajmują się takiemi drobnostkami....

Dział kobiecy.

Koronki.

Strój — to jedyny wydział, który w wesołej epoce Odrodzenia zrzucił z siebie ciasne i wszechpotężne więzy czasów średniowiecznych i swobodnie się rozwinął.

W Wenecyi, które to miasto wówczas tak jak dziś Paryż, nadawało ton całemu ucywilizowanemu światu pod względem mody, stała kolebka koronek; tam pracowano nad ząbkowanemi Merli, nad koronką siatkową, niezmiernie skomplikowaną i skombinowaną z rozmaitych figur geometrycznych; tam znano cięte i cudownie piękne koronki relief z prześliczną ornamentacyą Renaissance, ztamtąd wyszły niezrównane punti a fagliami, a spina, dei vermicelli (point de rose) i wiele innych. Robienie koronek było najulubieńszem zajęciem najwytworniejszych dam i tak w życiu domowem jak i w służbie kościelnej towarzyszyły ozdoby te każdemu nieomal człowiekowi.

Genueńskie koronki klockowe osiągnęły z swemi ząbkowatemi, odstającemi ozdobami (ztąd nazwa dentilli) i frendzlowatemi Macramé, dopiero w 17 stuleciu szczyt sławy, i to w Francyi i Anglii. Inne włoskie miasta, jak np. Padwa, Siena, Bolonia, Florencya, Rzym i dalmacka Raguza znane były także z pięknych i kosztownych koronek. A wszędzie wyrabiały je przeważnie damy z najlepszego towarzystwa.

Do Hiszpanii wprowadzono koronki z Włoch i Niederlandów i wnet zasłynęły „points d‘Espagne“ tak, że jeszcze za czasów Maryi Teresy nie wolno było rektorowi magnifico i dziekanowi uniwersytetu wiedeńskiego używać do galowych ubrań innych koronek, jak hiszpańskich. Nie były one tak cienkie i delikatne jak włoskie — można je raczej nazwać haftem, lecz odznaczały się prześlicznemi deseniami i niezmienioną subtelnością i czystością linij.

W Niemczech nie stanęły koronki nigdy, pomimo najkorzystniejszych warunków, na wysokim stopniu, obok zamiłowania do cudzoziemskich strojów, sprowadzano masami koronki z innych krai, to też nawet osiedlanie się francuskich protestanckich koronkarzy w Niemczech nigdy nie było należycie wyzyskanem. Za granicą znano jedynie klockowe koronki saskie, zawdzięczające istnienie swoje Barbarze Uttmann. Żyła ona w Norymberdze, w połowie 16 wieku, jako biedna szwaczka; nie mając zaś ani roboty, ani pieniędzy, wpadła na myśl wysnuwania i składania, za pomocą klocków, „cienkiej materyi“ z nici i tak powstały znane wszędzie koronki. Nie mogąc sama podołać zamówieniom, sypiącym się jak z rogu obfitości, wezwała holenderskie robotnice koronek do pomocy, sto lat zaś później miało już z koronek utrzymanie 30 000 ludzi. Naśladowane brukselskie koronki, wyrabiane w górach saskich i czeskich, miały w 18 stuleciu wielkie w Francyi powodzenie.

W Austryi zajmowano się także koronkami, lecz industrya ta nigdy się tam należycie nie rozwinęła.

Antypodami Włoch są Niederlandy z ich sztuką koronkarską, tak pod względem techniki, polegającej przeważnie na klockowaniu, jak i pod względem ogólnego charakteru sztuki, mającego więcej piękności wspaniałego rysunku, lub rzuconego naturalistycznego szkicu, niż dokładności i wyrazistości w sztucznie zbudowanym kształcie włoskiego sposobu malowania. Pomimo świetności krajowego przemysłu, stojącego pod wpływem nieustannego przestawania z Włochami za czasów Karola Śmiałego, księcia burgundzkiego, datuje się jednak dla wszystkich miejscowości, słynnych z wyrobów koronkarskich epoka ich sławy od tego dopiero czasu, gdy w Belgii, pod panowaniem łagodnych i sprawiedliwych arcyksiążąt austryackich, zaczęły się zabliźniać rany poprzednich wojen o religię i wolność. Pierwszemi produktami były naśladowania włoskich koronek „points a l‘aiguille“, ale z przywróceniem pokoju zmienił się gust i rozpoczął się rozwój samodzielny.

I jak w każdej sztuce tak i w sztuce robienia koronek odróżnia się jedno miasto od drugiego — i tworzą się podobne do szkół grupy, których lokale są od siebie, w bardzo zaludnionych prowincyach, czasem tylko o kilka godzin oddalone, a jednak każda grupa całkiem odrębny ma charakter.

Właściwym rajem sztuki koronkarskiej jest Francya. Tam kwitnie ta gałąź przemysłu bujniej, niż każda inna. Koronki francuskie są świetne, wspaniałe i — szalenie drogie. Niezrównany talent wrodzony Francuzom, do łączenia pięknego z użytecznem i do przekształcenia poszczególnych dzieł innych narodów w nowe formy dla dobra całego świata, ukazuje się w całej industryi, a mianowicie w industryi koronkarstwa, w całej pełni.

Kostyumy z czasów Henryka II, III i Katarzyny Medici, bardzo były pożyteczne dla wyrobów koronek i rozwoju tej sztuki, która wówczas nie mogła jeszcze, co prawda, współzawodniczyć z importem włoskim i niederlandzkim. Gdy jednak za panowania Ludwika XIV, wobec zwiększającej się ciągle biedy w kraju, zaczęto coraz więcej sprowadzać koronek i coraz znaczniejsze wydawać na nie sumy, wtenczas poznał genialny Colbert, że wyrób koronek, fabryki szkła i gobelinów, nadzwyczajnemi są faktorami pod względem nacyonalno-ekonomicznym, i dzięki jego energicznemu postępowaniu doszły w r. 1666 „points de France“ do najwyższego stopnia doskonałości.

Z zmieniającą się ciągle modą zmieniały się i desenie koronek, coraz piękniejsze wyroby następowały jeden po drugim. „Coiffeés à la Fontange“ ustąpiły miejsca krawatkom de Steinkerque — a zbytek przy codziennych „lévers“ dochodził do stopnia wprost niemożliwego!

I w kosztownych koronkowych żabotach szli dzielni oficerowie na pole bitwy i osłonięte koronkowemi chusteczkami i szalami, szły odważne arystokratki pod gilotynę.... *P.*

W przystani.

Sróż się zimo!... Próżne szały
Ja groźb twoich się nie trwożę!...
Widzę — rzuca chłodne łoże
Geniusz zimy — olbrzym biały;
Broda jego siwa szronem,
Dyadem z lodu brylantowy
Wielkiem okiem półzbudzonem,
Sieje pomrok biegunowy...
Na to hasło aniołowie
Rozbijają śniegu puchy:
Pościel ziemi na sen głuchy —
Kraczą wrony po dąbrowie;
Z wędrującem ptactwem w zmowie
Chmury wiążą się w łańcuchy...

Sróż się zimo!... — Zachód wstaje
Jak krew świeża purpurowy,
Od gór dyszy wiatr surowy,
Szkieletami sterczą gaje,
Mgła chłodnemi usty chucha
Na okienek szkła przezrocze,
Czai się na sosn warkocze
Rozczochrana zawierucha;
Niebo szare — ziemia głucha,
W koło śmierć już i zamrocze...

Sróż się zimo!... — Już ja pewny!
W domku moim mur z modrzewiu
Orszak prządek zwiodę śpiewny,
I rozdmucham skrę w zarzewiu,
Z trzaskiem rzeźwy ogień buchnie,
Umaluje ciche ściany
I blask rzuci pozłacany
Na twarz mojej białej druchnie,
Złote iskry podczas tany...
W czarną czeluść mknąc leciuchnie.

Przed ogniskiem pies domowy
Wierną głowę złoży cicho,
Skrę wyrzuci z ognia licho,
Za okienkiem hukną sowy;
W drzewie duszka się pożali,
Świerszcz odezwie się w szczelinie;
Nieskończony wieczór płynie ,
Jak zaklęta łódź po fali,
A godzina po godzinie
Cichem szczęściem Boga chwali!...

Noc czem głębsza — w duszy jaśniej!...
Nowe dzieje, stare baśni,
Dwoje dziatek na kobiercu,
Dwoje białych rąk przy sercu;
A przez ścianę prządek nuta,
Jak nić... długa... rozesnuta...
Czarna dola idzie mimo...
Jak mi cicho... Sróż się zimo...

Wł. Ordon.

Modne karty wizytowe.

Z rozpoczęciem sezonu zabaw nadchodzi chwila, w której karta wizytowa wchodzi w akcyę jako ważny przedmiot towarzyski.

„Jakie karty są modne w tym roku?“ — pytają panie i panowie kupca papieru.

Moda i tu wydaje przepisy, lecz karta wizytowa jest indywidualną — zdradza właściciela i chybia celu, jeżeli nie odpowiada jego osobistości.

Jeżeli właściciel niemodnej karty przedstawia się zresztą jako człowiek światowy, to można z tej dysharmonii wnioskować, że światowość jest mniej wynikiem własnej indywidualności jak sztucznym produktem wymuszonych usiłowań okazania światowości.

Pomijając modę daje karta wizytowa wogóle sposobność do robienia psychologicznych studyj. Opowiada ona nam albo o skromności, albo braku wszelkiego gustu, o towarzyskim takcie lub towarzyskiej niegrzeczności. Nie należy więc zamawiać jej bezmyślnie i nie traktować jak pierwszą lepszą błahostkę.

Jeżeli w naszych czasach wyrugowała metoda maszynowego rozmnażania dawniejsze karty, ozdobione najrozmaitszemi ładnemi obrazkami i fabrykowanemi zawsze tylko w pojedyńczych egzemplarzach, to powinniśmy jednak dążyć do tego, aby pomimo pozornej jednostajności karty nasze były indywidualnemi. Dawniejsze karty wyrażały jasno istotę, skłonności i interesy właścicieli — nie ma to znaczyć, aby nasze były równie obficie zaopatrzone w ozdoby, arabeski, kwiaty i obrazki, lecz na formę, wielkość i rodzaj napisu powinniśmy zważać więcej niż to się zwykle dzieje.

Napis! Druk!

Nie chodzi tu naturalnie o zwyczajne, drukowane karty — są one bowiem brzydkie i moda już dawno wskazała je na wygnanie. Lepsze karty muszą być litografowane, najlepsze zaś wyryte. W tym celu muszą być przygotowane płyty z miedzi, albo też ze stali, które zawsze mogą być używane. Pierwsze karty są dosyć kosztowne, ale jeżeli klisze mają być używane, to cena kart nie jest wyższą niż zwykle. Wyryte karty wyglądają dlatego tak elegancko, że uwydatniają nazwisko znakomicie. Litery czarne lub szafirowe, drobne, lecz wyraźne, odcinają się plastycznie od białego kartonu. Płyty miedziane wytwarzają litery więcej płaskie, podczas kiedy płyty stalowe robią je wypukłe. Karton powinien być bardzo cienki — im cieńszy, tem lepiej wyglądają litery. Fabryki papieru dostarczają nam prześlicznych kartonów „kryształowych“ i „z kości słoniowej“, nawet „pergaminowe“ bywają jeszcze używane; wyroby te zmieniają się nieustannie i coraz są ładniejsze. Na litografowane karty bierze się także karton cienki, pismo zaś drobne, bez żadnych ozdób wygląda zawsze bardzo elegancko.

Na damskiej karcie nie powinien się nigdy znajdować adres lub numer telefonu, tak samo powinni mężczyźni, składający wizyty w domach prywatnych, mieć karty bez adresu. Również i tytułu męża nie powinna kobieta używać na kartach; w obecnych czasach feminizmu, gdy kobiety walczą same o byt i zdobywają sobie tytuły doktorów itp., nie powinny mężatki, nie będące same doktorem lub profesorem, chełpić się tytułem męża. Bo to ich własną zasługą nie jest, a jeżeli każą na kartach drukować: doktorowa, sędzina itp., to dają tem dowód, że więcej im zależy na tytule niż na wartości osobistej. Że tytułów urodzenia używać można, o tem chyba zbytecznem byłoby wspominać, lecz i tu jest zawsze pewna dyskrecya na miejscu.

Forma karty wizytowej jest zawsze jeszcze długa i wązka, lecz nie przesadnie wielka, a cienki karton modnych kart ułatwia noszenie ich w większej ilości w torebce, bez zbytecznego przepełniania jej.

Na zakończenie pozwalam sobie jeszcze to nadmienić, aby panie używały wizytówek tam tylko, gdzie potrzeba, a więc nie rozrzucały ich bezmyślnie. Właśnie co do kart wizytowych dzieją się często nadużycia, tak, że „każdy“, mianowicie zaś „każda“ powinna dokładnie wiedzieć: komu, kiedy i gdzie kartę dać należy. W każdym razie jak wszędzie i zawsze, tak i tu nie zawadzi ostrożność. *Empa.*

Rozdwojenie.

(Humoreska.)

Podobał mi się ogromnie, polubiłam go od razu, zakochałam się w nim po uszy, chociaż go nigdy nie widziałam, chociaż...

A było to tak: gdym obejmowała w posiadanie ten oto pokoik na trzeciem piętrze, taki sobie zwyczajny pokoik o jednem oknie, jednym stoliku, jednem łóżku i paru krzesełkach — zapytałam stróża: „Kto mieszka obok mnie za ścianą?“ a on mi na to: „ot jakieś tam!..“

Jakieś tam!... Oburzyło mnie to... Cóż to za grubiański sposób wyrażania się o lokatorach! gdzież to słyszano? Przekładam mu, a on nic, tylko się śmieje, aż mi krew do głowy uderzyła. Wszakże, jeśli na zapytanie moje o sąsiedzie odpowiada mi: „jakieś tam“, to tak samo na zapytanie mego sąsiada o mnie powiedzieć może „jakieś tam!“... bo cóż to właściwie oznacza? przecież jakieś tam dziecko nie mieszka chyba w tym pokoiku za ścianą?... A więc... to tak niby nie o człowieku się mówi, a zwierzę tam z pewnością się też nie mieści...

Gdym się wprowadzała, sąsiada mego nie było w domu, w sąsiednim pokoiku panowała cisza, ja zaś tak gorliwie zajęłam się rozpakowywaniem manatek, że anim się spostrzegła, jak sąsiad mój powrócił i krzątać się zaczął również po swoim apartamencie. Uderzył mnie odrazu dźwięk jego kroków: był to chód męski, ciężki a elastyczny, energiczny, a zarazem miękki, mający w sobie coś jakby z ruchów kobiecych, taki chód wymarzony, na którego odgłos staje

przed oczami postać męska, silna a barczysta, o wichrowatej czuprynie i jasnych, dobrych, marzących oczach. I o takim człowieku powiedzieć: „jakieś tam!...“

Zatrzymałam się chwilę i nasłuchiwałam, on również zatrzymał się tuż przy mojej ścianie... czyżby też nasłuchiwał?... Ale oto zaszeleściły papiery... gazeta... potem zaskrzypiało pióro, przycisk był w robocie, a robota szła raźno... Słuch mój, doskonały słuch, oddawał mi tym razem przysługę nieocenioną: zdawało mi się, że z samego skrzypienia pióra poznaję litery, czytam słowa, śledzę myśli, piękne, mądre, podniosłe myśli, wysnute z serca i głowy tego tam człowieka. Człowiek ten musiał być niewątpliwie literatem... barczysta postać, jasna czupryna, marzące oczy i... literat... można sobie wyobrazić coś bardziej pociągającego?

Zmęczona porządkowaniem, zostawiłam na środku pokoju stos bielizny i sukien, a usiadłszy na krześle w kąciku, oczami duszy przebijałam ścianę, poza którą sąsiad mój niezmordowanie pracował. Do silnych świat należy... i wszystkie istoty słabe do silnych należą! — pomyślałam sobie, lecz w tej chwili przyszło mi na myśl, że dobrze byłoby, że to nawet jest ścisłym obowiązkiem moim oderwać go od nużącej pracy, zanuciłam więc sobie, a że głos mam donośny i dość wygimnastykowany, więc też polały się arpeggie i trille, aż usłyszałam jakiś głośniejszy dźwięk za ścianą ,coś z czego sobie dobrze sprawy zdać nie mogłam, ale co w najpiękniejszem miejscu przerwało moją aryę. Zawołałam tedy, zbliżając się do ściany:

Ach, przepraszam pana, przepraszam pana, przepraszam najmocniej! — i oto najniespodziewaniej w świecie zabrzmiał śmiech, w którym jednak wyczułam znowuż jakieś srebrzyste niby kobiece tony, tworzące tak dziwną i piękną harmonię z tonami męskiemi, jakby się tam dwie dusze miłością w jedno zlewały.

Byłam wniebowzięta... Tymczasem śmiech ucichł, znowu zaszeleściły papiery, a po chwili kroki skierowały się ku drzwiom wyjściowym, — ja również do swoich pospieszyłam... poruszenie klamki tam — u mnie toż samo... Drzwi sąsiednie się otwierają — moje również i oto cóż mi się pokazuje? co? oto coś takiego, coś... jakieś tam... no, po prostu głowa kobieca, o wichrowatej, wprawdzie czuprynie i jasnych oczach, ale brzydka kobieca głowa, a potem barczysta i znowu, ale kobieca figura, kobiece ręce i nogi, takie olbrzymie, niezgrabne, że aż ścierpłam, a ona, ta sąsiadka moja, uśmiecha się od ucha do ucha, i, złożywszy mi arogancki ukłon, spuszcza się ze schodów, niosąc pod pachą tekę, napakowaną pewno temi gryzmołami i nucąc wstrętnym wpół męskim głosem: „że los stworzył mię dziewicą — dzięki jemu za to...“

Zatrzasnęłam drzwi i rzuciłam się na łóżko, kryjąc twarz w poduszki... O, jakże cierpiało serce moje! jakież w niem było rozdwojenie!... Tamtego — chociaż go nigdy nie widziałam.. chociaż go niema... nie było wcale — miłowałam, miłuję jeszcze... tę — ponieważ była, ponieważ jest — nienawidzę!... a przecież ci dwoje to jedno...



Gospodarz: Antoni przyjąłem was na stróża — pamiętajcie trzymać mi porządek koło domu jak najlepszy. Obchodźcie także dom w nocy, aby się złodziej nie zakradł. A czy wy przypadkiem się nie boicie?

Antoni: Nie boję się.

Gospodarz: A byliście kiedy w niebezpieczeństwie?

Antoni: Tak byłem?

Gospodarz: A kiedy?

Antoni: Przecież zeszłej zimy chcieli mię ożenić.

Kalendarzyk historyczny.

Dnia 26-go stycznia 1517 bitwa z Tatarami pod Kaniowem. — 1567 pobicie Moskwy na polach czaśnickich. — 1699 pokój karłowicki z Turkami.

Dnia 27-go stycznia 1510 pożar salin w Wieliczce. — 1736 Leszczyński zrzeka się praw do tronu polskiego. — 1792 sejm w Warszawie gromi nadużycia magnatów. — 1832 wymordowanie w Fischau bezbronnych Polaków.

Dnia 28-go stycznia 1568 wzięcie spalenie Wielisza. — 1573 konfederacya w Warszawie po śmierci Zygmunta Augusta. — 1831 utworzenie w Paryżu komitetu dla sprawy polskiej.

Dnia 29-go stycznia 1479 śmierć Grzegorza z Sanoka, arcybiskupa lwowskiego. — 1583 uniwersał Stefana Batorego urządzający poczty.

Dnia 30-go stycznia 1863 zjazd monarchów w Krakowie. — 1658 pobicie Tatarów u Sinych Wód. — 1667 traktat andruszowski z Moskwą. — 1706 śmierć Maryi Kazimiery.

Dnia 31-go stycznia 1610 poselstwo moskiewskie pod Smoleńskiem wzywa na tron królewicza Władysława. — 1617 wyprawa Władysława na odzyskanie tronu moskiewskiego. — 1667 śmierć hetmana Jerzego Lubomirskiego. — 1676 sprowadzenie zwłok Jana Kazmierza do Krakowa.

Dnia 1-go lutego 1411 pokój z Krzyżakami w Toruniu. — 1676 pogrzeb Jana Kazimierza i Michała Wiśniowieckiego. — 1733 śmierć Augusta II.

Humor i satyra.

Oświadczyny kowala.

Miłość moja dla ciebie,
Jak koksu płomienie,
Brygido, daj mi dzisiaj
Twoje przyrzeczenie.
Serce moje gdy w sidła,
Twoich wdzięków wpadło,
Bije do cię w mej piersi,
Jako młot w kowadło.
Kiedy powiedzą „twojam“
I miłości słowa,
Usteczka twe wycięte
Ślicznie jak podkowa?
Uśmiechnij się, pokaż mi,

Twych ząbków opale,
Co tak piękne i długie,
Jak jakie hufnale.
Serce me od miłości,
Za tobą usycha,
Pierś ma, jak miech w mej kuźni,
We dnie, w nocy wzdycha.
Przyjm mą rękę, niech z tobą
Szczęśliwy się czuję
Jak ten koń, gdy go w nowe
Podkowy okuję...

* * *

Ostra odprawa dana uczonemu, który wierzy, *że* pochodzi z małpy.

Pewien podróżujący w interesach handlowych, a przytem także rozwożący oświatę swoją, jechał koleją żelazną pewnego dnia z Wrocławia do Opola. Jak się zdaje handel jego nie kwitnie, bo taki możny pan obrał sobie 4-tą klasę może i dla tej przyczyny, ażeby robotników, powracających na niedzielę do domów swoich, do niewiary uwodzić. Zaledwie ów pan usiadł wygodnie we wagonie, zaraz rozpoczął rozmowę z innymi podróżnymi. Mądrość jego aż tryskała po wagonie, wynosił pod niebiosa niemiecką oświatę, oświadczając, iż ludzie się mogą radować, że żyją w tak oświeconych czasach, w których wykształcenie i oświata rozszerza się powszechnie; gdzie lud wyrasta z pod opiekuństwa księży i więcej nie będzie wierzył w stare powiastki i banialuki, że wolne badania nie dadzą się już powstrzymać od postępu, i że człowiek już rozwiązał zagadkę pochodzenia swego. A że człowiek pochodzi z małpy jest obecnie artykułem niezbitym każdego uczonego człowieka, udowodnionym nieodwołalnie. Wtem gdy w najlepsze się rozgadał, przerywa jeden ze słuchaczów mowę płynącą jak woda na młyńskie koło i odzywa się obojętnie:

— Ależ panie, ja nie wierzę, abyś pan pochodził z małpy: pan pochodzisz najpewniej z jakiejś krowy, bo byś przecież nie urósł tak wielkim wołem.

Skończył i zawinąwszy się w płaszcz, usiadł sobie najspokojniej na swem miejscu. Przytomni w wagonie wybuchnęli głośnym śmiechem, a ów mędrek zarumieniwszy się ze wstydu po same uszy, rad był, że mógł wysiąść na następnej stacyi, by nie być wystawionym na dalsze drwinki.

* * *

Z motywów ludowych.

Siwy gołąbeczek
Grucha sobie — grucha!
Mówi parobeczek:
— Moja żonka głucha.

Ja wołam obiadu —
Ona gadu, gadu...
Wykipiała rzepa!
— Moja żona ślepa...

A nuże Moniko!
Wykipi ci mliko,
Przypali się kasza;
Dolaż — dola nasza!

Ale chociaż żonka
I ślepa i głucha —
Parobeczek w dłonie
Na mrozie nie chucha.

Jest na grzbiecie kożuch,
W komorze słonina,
W skrzyni też talary,
Na łóżku pierzyna.

Siwy gołąbeczek
Grucha sobie — grucha!
Dobra żonka z wianem,
Choć ślepa i głucha. **A. W.**

Szarad y

Nadesłała czytelniczka „Pracy“ p. Seweryna Wierzbińska z Berlina.

I.

Druga pierwsza oręż dziś nie używany,
Wstecz *trzecia* u ptaków. — *Wszystko* zamek znany.

II.

Pierwsza nie nasza litera;
Imię biblijne jest *drugi* —
Wszystko w bałkańskiej dziś wojnie
Wielkie oddało przysługi.

Rozwiązania prosimy nadsyłać do dnia 30-go stycznia włącznie.

Później nadesłanych rozwiązań nie uwzględnimy.

Przy rozdawaniu nagród uwzględnimy tylko te osoby, które nam nadeślą dokładne rozwiązanie powyższej szarady.

Szan. Czytelników prosimy, aby dla zaoszczędzenia opłaty pocztowej przesyłali rozwiązania zagadek **tylko na pocztówkach.**

Rozwiązanie szarady z nr, 2-go:

Nowy Rok.

Trafne rozwiązanie nadesłali:

Z POZNANIA: pp. Janek z pod Góry Przemysława, Józef Kędziora, Antoni Koczorowicz, Zdzisław Lubiński, Marcin Matuszak, Pankracy Stark.

Z PROWINCYi: pp. Marya Bajerlein z folwarku Winiary pod Poznaniem, Wł. Polewicz z Koźmina, Dr. Żmidziński z Skalmierzyc, Zofia Kapelska z Mosiny, Andrzejewski z Gniezna, Konstancya Kolańczyk z Kowalewa pod Pleszewem, Marya Mannówna z Oporowa pod Wronkami, Zofia Hoffmann z Kwilcza, Joanna Sobocińska z Wielowsi pod Gniewkowem, Anna Grusówna z Grudna powiat nowotomyski i Stanisława Piszczygłowa z Wągrówca następującym wierszykiem:

Pierwsze wstecz zwykle na wsi mawiają,
Bo tam na słowa mało zważają.
Trzecie i drugie, praca kobiety,
Zobacz chusteczki albo serwety
Całość nam wszystkim winna być droga
Wierzmy, ufajmy, i prośmy Boga:
Niechaj nam jaśniej, słońce zaświeci
Niech wywłaszczenie od nas odleci.

Z PRUS ZACHODNICH: pp. Ludwik Rządkowski z Przechowa w powiecie świeckim i Józef Bandkowski z Topólna w powiecie świeckim.

Z PRUS WSCHODNICH: p. Franciszek Mizgalski z Gąbina, i Z. Dąbrowska z Landsbergu.

ZE ŚLĄSKA: pp. Wiktorya Gąsiorowska z Wrocławia, Jadwiga Badura z Rożdzienia, H. Kucharczyk z Mikołowa, W. Bromboszer z Nowel Wsi.

Z Galicyi: pp, Gizela Ochenduszkowa z Liska, A. Gwóźdź z Libiąża, Hipolit Wodecki z Ropczyc.

Z OBCZYZNY: pp. Teofil Goraus z Lyonu (Francya.) J. Grzankowski z Osterfeldu, Jan Szymański z Arenbergu, Józef Nowicki z Rheine, Jadwiga Chocieszyńska z Hanoweru, Franciszek Dereziński z Berlina.

Nagrodę otrzymali: pp. Marya Bajerlein z folwarku Winiary, Anna Grusówna z Grudny, Franciszek Mizgalski z Gąbina, Jadwiga Badura z Rożdzienia.

Nasz kącik.

Ofiarnym serduszkom — czytelników „Kącika.“

Wezwane słowem przyjaciółki drogiej,
Która wskazała, gdzie łza nędzy świeci,
Zapragnęłyście, by dziatwie ubogiej
Coś dać na gwiazdkę, dobre, polskie dzieci!
Więc nam koszulki własnej swej roboty,
Odzież noszoną i co które może,
Nadesłałyście, by wspomódz sieroty
I dzieci biedne tak, jak Dziecię Boże.
Na sianku z zimna drżał Jezusek mały,
Lecz wyście same otarły Mu łezki,
Bo wyście Jego w ubogich odziały.
A czyn wasz widział Ojciec nasz niebieski.
I On wam kiedyś w niebie to odpłaci,
Bo Chrystus uczył przez całe swe życie:
„Co uczynicie najuboższym z braci,
Mnie to czynicie!“
Za pomoc wdzięczny wam **„Dział Panien“** może
Młodsze siostrzyczki serdecznemi słowy,
Tylko najszczersze przesłać „Szczęść Wam Boże
Na ten Rok Nowy!

Dział Panien.

* * *

Pogadanka, pokwitowania, odpowiedzi.

Prawda, drogie dzieci, jak błogo i miło stało się w waszych serduszkach po przeczytaniu powyżej podanego wierszyka? Na przyszłą gwiazdkę, jak Pan Bóg da doczekać, znowu zabierzecie się do szycia, prawda? Tymczasem zaś, gdyśmy dla weteranów tyle grosików zebrali, nie będziemy już **żadnych** składek urządzać, dosyć daliście dowodów hojności i poczucia obowiązku, małe obywatelki i obywatele! Lecz przykro mi, bo jakoś podejrzanie wygląda tajemnica, którą dzieci otaczają sprawę przybrania choinki. Tylko Jaskółka z niewoli napisała: „szykuję ozdoby na drzewko i nie będzie na niem ani źdźbła obcego szychu“. A jakże było gdzieindziej? Wieczór wigilijny “ odgrywano jeszcze, nadsyłając dochód dla staruszków: P. M. Tykwińska z Dembna 6 mk., Pierwiosnek i Bogienka z Katowic 5 mk., Mikołajczak, St. Kranc i J. Czarnecki z Gelsenkirchen 4 mk. na cygara dla staruszków. Wszystkim kochanym dzieciom i tym, którzy im pomagali, w imieniu staruszków z całego serca dziękuję. Pasikonik ze Śródki nadesłał 1 markę otrzymaną w nagrodę za ładne wypowiedzenie wiersza. Prócz tego odebrałam oszczędności ze skarbonek: od Szarotki, Podróżniczka i Bławatka z M. 2 mk., od Helci Cichej z Neukölln 1 mk. i 1 mk od Witoldka i Zbyszka Jachimowiczów z Kościelca, z nadmienieniem, iż z całego serca tem, co mają ze staruszkami się dzielą. Za waszą ofiarność i gotowość niesienia pomocy, wdzięczną wam jestem pociechy moje niewymownie! Kórnickie dzieci w trzech partyach, trzy razy teatrzyk odgrywały, przeznaczając dochód z pierwszego wieczoru dla staruszków, z następnych dla domu sierót w Kórniku. Oto nazwiska amatorów z pierwszego wieczoru. Znana już ze swej pilności Wicia Preissówna, Mania Szeląszkiewiczówna, Józio Preiss, Staś Majchrzycki, Kazik Kościański, Zygmuś Urbanowski, Władzio Majchrzycki i Zygmuś Poplewski. W poprzednim „Kąciku“ było już pokwitowanie a teraz jeszcze raz wam powtarzam „Bóg zapłać“ dobre dzieci! Niezapominajka z Kostrzyna, Lilijka z Berlina i Helcia Cicha z Neukölln. Wypracowania dobre, a więc i skromne nagrody pewne. Twoja odpowiedź Niezabudko bardzo mnie ucieszyła, a ty Lilijko czemu taki króciutki napisałaś liścik? Helciu rozwiązanie zagadki: Korybut, nadeszło za późno, w ostatnim liściku mniej jest błędów, a z każdego słówka tryska dowód gorącego serduszka, pozostań zawsze dobrą Polką. Sokolik z nad Czarnej Wody i Orlik z pod Ostrowa. Oj, pewnie chłopczyki, że milej było opisywać dzieje dawnej chwały Polski, niż późniejsze dni jej upadku. Tym więcej trzeba nam wszystkim wszelkich sił dokładać, by kiedyś znów się podźwignąć mogła. Wypracowania bardzo dobre, bo szczegółowe i dokładne. Stefek Bartosiewicz, Berlin. Niestety, tobie Stefku tego powtórzyć nie mogę, bo nadesłałeś mi krótkie wzmianki, chociaż wyraźnie pisałam, że uwzględnie i nagrodzę **tylko** wypracowania. Mam nadzieję, że później do tego się zastosujesz, nie przestawaj więc pisać, bo liścik mi się podobał. Pierwiosnek z K. Widzisz kochanie, sprawdziło się przysłowie, że: Dla chcącego, nic trudnego“. Chociaż bez towarzyszek, sama z małą siostrzyczką, przy dobrej woli zarobiłaś sporą sumkę odegrawszy pierwszą cześć sztuczki, bardzo się ucieszyłam. Oj, będziesz miała nie małe trudności do pokonania, skoro masz się uczyć łaciny. Niech ci Pan Bóg dopomaga. Pisuj dzienniczek, bo miła na przyszłość pamiątka, Twoja Mamusia miała ongi śliczną książeczkę: „Dzienniczek Małgosi“, czy ją czytałaś? Bogienka z K. Cieszę się, że dostałaś na gwiazdkę „Rok w powiastkach i t. d.“ i że ci się podoba, a Jania i Basia czy grzeczne? Szarotka i Bławatek z M. Malutkiemu kwiatkowi dziękuję za duże literki, a dużemu, mojej miłej Szarotce za nakłonienie ku mnie serduszek młodszego rodzeństwa. A co robi Aleczka? Staś, Maryś i Kazik Ochenduszkowie. Lisko. Dziękuję Mamusi i wam chłopaczki za liściki. Może to wasze modlitewki sprawiły, że mojej Matce lepiej, więc wdzięczną wam jestem za kochające serduszka. Nie, mój ofiarny Marysiu, już dosyć dałeś. „Kącik“ na razie więcej datków zbierać nie będzie! A Kazika czy już gardziołko nie boli? Wituś i Zbyszek Jachimowicze Kościelec. Oj, słusznie Tatuś mówi, że w kraju, jak nasz ubogim i podległym, grzech jest dużo na zabawki wydawać i lepiej popierać narodowe cele. Kochane chłopaczki, pewnie i bez tego umieją sobie wymyśleć wesołą zabawę, a na tym lepszych wyrosną obywateli. Tylko ty Zbyszku nie choruj, bo mały Polak powinien być zdrowy i silny. Pasikonik ze Śródki. Dowodem ofiarności zacząłeś ze mną znajomość, to dobry znak, więc mam nadzieję, że stale i nadal lubić się będziemy i że doczekam się z ciebie pociechy, czy się nie mylę? Całuję wszystkie pogodne czółka i uśmiechnięte buzie, przyjaciółka z „Kącika“

P. W.

Do dnia 17. 1. 13. Zebrałam dla staruszków drugą ratę 79 mk. 34 fen. Dnia 25. 1. będzie ostateczne sprawozdanie.

* * *

Prawdziwy obrazek z przed pół wieku.

(Ciąg dalszy.)

W tej chwili wzrok Stefka padł na zalaną łzami buzię Ani i już współczucie miało przeważyć jego oburzenie, gdy Tadzio, starszy jego kolega, odezwał się z naganą. „Widzę, że niebezpiecznie zbierać się u ciebie, skoro tu ściany mają uszy.“ — Ej, nie przesadzajcie koledzy, zawołał Stach i ujmując rączkę Ani, zaczął łagodnie przemawiać: „Moja maleńka, nie płacz i cóżeś ty to słyszała, powiedz.“ Ania z po za łez wdzięcznie na dobrego chłopca spojrzała: „Ja nie szpieg, nic złego nie chciałam zrobić, chciałam się tylko dowiedzieć, dlaczego wy się zamykacie — i — i —ja nie chcę, żeby Stefek szedł się bić, aż do ostatniej kropli krwi! Ja nie chcę, żeby go Moskale zabili, nie chcę, nie chcę!“ Zdawało się, że gwałtowne łkanie rozerwie drobne piersi Ani. „Koledzy, chyba nie trzeba mieć serca, aby się gniewać na tę biedną małą“ — zawołał Stach, a Stefek wziął ją w objęcia i szeptał głosem zdławionym łzami. „Moja Anulko, pierwsza byś wstydziła się za swego brata, gdybym jak piecuch siedział w domu, gdy inni staną w obronie Ojczyzny. Wiesz, że Moskale uwięzili nam ojca, nie mamże iść upomnieć się o niego?“ Te słowa przekonały Anię: Ach, tak, tak, Stefku, idź obronić tatusia!“ I gorące usta przylgnęły z szacunkiem do ręki brata. Nawet zimny zwykle Tadeusz uczuł się wzruszonym. „Moja Aniu, pamiętaj, o tem, coś tu dziś słyszała, nie mów nikomu ani słówka, a wiele razy tu się zbierzemy pilnuj, by nikt naszej rozmowy nie podsłuchiwał!“ Ania dumna z pozyskanego zaufania, zsunęła się z kolan brata. „O, nie obawiajcie się, choćby mnie nawet Moskale zabić mieli, to ja nic nie powiem, ale czy i mamusi nię wolno o tem mówić?“ „Mamusia od dawna wie o wszystkiem“, odrzekł Stefek, wyprowadzając Anię do drugiego pokoju.

(Dalszy ciąg nastąpi.)



Wiktor Gomulicki.

BÓJ OLBRZYMÓW.

POWIEŚĆ HISTORYCZNA.

45)

(Ciąg dalszy.)

Błyskawicznie naciągnięte zostały mundury, przewieszone szable, przywdziane kaski i łosiowe rękawice. Drzwiami i oknami powyskakiwali wszyscy, śpiesząc na swe posterunki. Ruch zawrzał w całym obozie.

Ociężałe Sasy i leniwe Westfalczyki z trudem i w nieładzie wysypywali się zewsząd, depcąc sobie po piętach, potykając się, przewracając. Natomiast z wielką sprawnością i nadzwyczajnym pośpiechem stawali do apelu Polacy. Magnetycznie oddziaływał na nich głos nie Napoleona, lecz księcia Józefa. On był dla nich władzą najwyższą; w nim widzieli głównego wodza, naczelnika, prawego następcę Kościuszki.

Polskim żołnierzom zbędne były nominacye urzędowe. Oni znali tylko i słuchali księcia Józefa, *któremu pomagał Napoleon.*

Gdy wojska stanęły w szeregu, wyjechał do nich na swym przepysznym turczynie książę Józef. Odpowiedziawszy miłym uśmiechem na przeciągłe, ogłuszające pozdrowienie, oznajmił podwładnym wolę cesarską, przyłączającą korpus piąty do korpusu pierwszego i oddającą króla Westfalskiego Hieronima pod zwierzchnictwo generała Davouta.

Żołnierze polscy wysłuchali tej wiadomości w obojętnem milczeniu. Co ich to wszystko obchodzić mogło! Bóg i Ojczyzna, książę Józef i Napoleon, zwycięstwo i wolność — oto były jedyne ich gwiazdy przewodnie.

Oficerów dręczyła ciekawość: co im powie, z jaką miną do nich przystąpi zdegradowany król?

Ta cieńkawość nie miała być zaspokojona.

Król Hieronim, korpusu piątego dowódzca, światłem, od brata pożyczonym błyszczący pyszałek, zwierzchnik bezpośredni księcia Józefa, któremu, wiedzą talentem i charakterem do kostek nie dorastał, po otrzymaniu rozkazu cesarskiego — haniebnie z obozu czmychnął.

ROZDZIAŁ IV.

Czerwony człowieczek zjawia się po raz drugi.

Napoleon długo nie ruszał się z Wilna; zdawało się, że tam wiekować będzie. Dużo rozprawiał, pogwizdywał, pośpiewywał, kampanię rosyjską traktował, jak krotochwilę, której rozwiązanie w ciągu kilku dni nastąpi — jednak w sobie nie był ani zadowolony, ani spokojny.

— Otóż mamy przed sobą — wzgardliwie mówił — owo bajeczne carstwo, które zdala imponowało nam swym ogromem i rzekomą potęgą... Cóż to za marność! Czy można nazwać państwem pustynię, wśród której bezkresu niknie garść rzadkiej, rozproszonej ludności? Wielkie obszary, które tych barbarzyńców bronić miały, staną się ich zgubą. Ich tak zwana armia, śmiech poprostu budzi. Nie ma to ani broni, ani organizacyi, ani cienia ducha wojennego. Przy pierwszem starciu, panicznym strachem zdjęci, uciekają, jak stado baranów. Na cóż liczył ten ich car, pozornie tak pewny siebie i mocny? Zanim ułoży plan kampanii, już będzie pobity; zanim zdąży wojska swe ściągnąć, ja już w murach Moskwy stanę. Pokona ich strach, jaki budzi sława mych poprzednich tryumfów; zginą od wyrzutów sumienia za krzywdę, wyrządzoną Litwie i Polakom. W pierwszej walnej bitwie skruszę ich potęgę za zawsze. Byle tylko to niebo raz nareszcie rozchmurzyć się chciało...

Niestety! Ani niebo nie chciało się rozchmurzać, ani walna bitwa nie nadchodziła.

Cesarz zbierał informacye, odbywał narady z generałami, kreślił coraz nowe plany, rozsyłał swe korpusy, to w prawo, to w lewo — dręczyło go jednak tajemnie coś nieokreślonego, podobnego tym złym przeczuciom, które napadają ludzi w pełni sił, zdrowia i powodzenia, każąc im niespodzianie myśleć o śmierci, biedzie, nieszczęściu.

Spokojnym być nie mógł. Widział, że dokoła niego dzieje się coś nie tak, jak się dziać powinno. Ta kampania zapowiadała się jakoś dziwnie, zagadkowo, niepokojąco, nie była podobna do niczego, z czem się dotąd spotykał.

Doświadczał Napoleon wrażeń człowieka, który zbrojno napadł na zamek i miał bramy jego minami wysadzić, tymczasem widzi, że wszystkie drzwi same się przed nim otwierają, za drzwiami zaś — nikogo...

Nieraz, gdy był sam, wymknęło mu się z ust włoskie przekleństwo. Nieraz, będąc pewnym, że go nikt nie widzi, wysuwał przed siebie dwa palce prawej ręki, kierując je w stronę, gdzie domyślał się obecności cara Aleksandra. Budził się w nim przesądny, w *jettaturę* wierzący Korsykanin.

Pod względem fizycznym nie był to już wychudły, z gorączkowym w oczach płomieniem, generał Bonaparte, każący czterdziestu wiekom przypatrywać się sobie ze szczytu piramid; ani tężejący już w bronz i marmur zwycięzca z pod Austerlitz; ani nawet przybrany w gronostaje, wyniosły, a zimny, Cezarowi młodemu podobny, koronujący sam siebie cesarz Francuzów. Rosnąca z każdym dniem tusza, zacierała w jego postaci wszelką posągowość; stawał się ociężały, a wydatny brzuch przy małym wzroście, dawał mu znamię pospolitości, upodobniał do płaskiego typu włoskich pasztetników i perukarzy.

Przytem nie czuł się zdrowym. Twarz jego z każnym dniem stawała się żółciejszą, przybierała tony oliwne i szare. Ciepłych kąpieli używał prawie codziennie, i dużo czasu spędzał w wannie, dokąd nawet przynoszono mu raporty i zkąd pilniejsze wydawał rozkazy. Najbliższe jego otoczenie dopatrywało się w tem dziwactwa — rzeczywistości było to co innego. Ciepłemi kąpielami cesarz uśmierzał bóle wewnętrzne, przed światem tajone.

Z Litwinów cesarz nie był zadowolony. Oni również zbytniego zapału wykrzesać dlań z siebie nie mogli. Wchodziły tu w grę: z jednej strony, czarujący uśmiech Aleksandra, z drugiej, niewyraźne i wykrętne słowa, jakiemi cesarz

odprawił delegacyę warszawską i wileńską. Przytem pospieszne, naprędce zaimprowizowane uwłaszczenie włościan, usposobiło niechętnie znaczną część szlachty litewskiej.

Nie przynosiła też Napoleonowi pociechy i jego *Grande Armée*. Brak prowiantu i furażu zmuszał wojsko do rabunku, a cieżkie kary za rabunek, wywoływały dezercyę. Jeszcze nie zaczęła się wojna właściwa, a już we wszystkich oddziałach brakło po kilkudziesięciu i po kilkuset ludzi.

Tem zresztą mało się cesarz przejmował.

— Pierwsza walna bitwa — nie przestawał powtarzać — zaradzi odrazu wszystkiemu. Dostarczy ona w obfitości pożywienia dla ludzi i koni, a żołnierz syty i zadowolony nie będzie się dopuszczał bezprawi.

Tymczasem jednak pierwszy punkt wspaniałego programu nie powiódł się. Korpusy: pierwszy i piąty, które miały odrąbać Bagrationa od Barclaya de Tolly, zadania swego nie spełniły. Trzeba było stwarzać nowe plany i Wielkiej armii nową wykreślać drogę.

W tym samym czasie drugi olbrzym: car Aleksander, czynił wrażenie lunatyka, idącego do celu krokiem pewnym, lecz z zamkniętemi oczami.

Czyny i zamierzenia obu przeciwników ujawniały, że jeden i drugi ulega sile wyższej... Ta jedynie istniała między nimi różnica, że cesarz usiłował z ową siłą walczyć, a car poddawał się jej bez oporu. Chcąc, czy nie chcąc, stawali się obaj narzędziami jakichś tajemnych, nadziemskich potęg.

Wieść o wkroczeniu Napoleona na Litwę zaskoczyła cara niespodzianie, przy tańcu i zalotach. I zaraz, prawie bez namysłu, wydał rozkaz odwrotu. Wyglądało to na wypełnienie przyjętego wcześnie, po dojrzałej rozwadze, postanowienia, w rzeczywistości było — improwizacyą. Być może nawet, że czemś jeszcze dziwniejszem, bo — automatyzmem.

Dwudziestego szóstego czerwca, późnym wieczorem, dowiedział się car o przejściu Niemna przez Francuzów a już rankiem dnia następnego nie było w Wilnie ani jego, ani jego armii. Barclay de Tolly skierował się z jednym korpusem w stronę Moskwy; książę Bagration, wraz z generałem Platowem i jego kozakami, zwrócił się w kierunku Petersburga. Przy tym drugim korpusie umieścił się car.

Z kierunku drogi korpusów nie wypadało bynajmniej, że udać się zamierzają do dwóch stolic imperyi. Poszły tam, gdyż tam iść musiały — pomimo, że tworzyło to rażącą sprzeczność z ukazem carskim, ogłaszającym wojnę, a wydanym dopiero po fakcie.

Car przemówił do swego narodu miękko i chwiejnie: „Do końca mieliśmy nadzieję powściągnąć wrogie zamysły cesarza Francuzów łagodnemi, pokojowemi środkami... Zajęliśmy posterunek przy samej granicy, ufając, że się przeciwnik przestąpić jej nie poważy... Nie pomogły te wszystkie środki do utrzymania tak pożądanego przez nas spokoju... Cesarz Francuzów naszedł nasz kraj gwałtownie i pierwszy wojnę rozpoczął... Nic nam nie pozostaje, jak tylko Boskiej pomocy wezwawszy, przeciwstawić siły nasze siłom nieprzyjaciela... Wojownicy! krew dzielnych Słowian płynie w waszych żyłach. Spieszcie bronić religii, ojczyzny i wolności. Ja jestem z wami. Bóg zwraca się przeciw najeźdźcy."

Tkwiła w tem bolesna ironia, że naród jednocześnie z wezwaniem do wojny otrzymał wiadomość o cofaniu się armii. Należało to za wszelką cenę naprawić. I oto we dwadzieścia cztery godzin po pierwszej odezwie w rocznice bitwy pod Połtawą, wydaje Aleksander odezwę drugą, o wiele mocniejszą i ognistszą.

— „Wojownicy rosyjscy! Los pozwolił wam nareszcie osiągnąć cel upragniony... Przy pierwszem natarciu wroga należało powstrzymać zbytni zapał waszych rwących się do boju zastępów... Wpierw musiały być skupione nasze siły, aby szańcem nieprzebytym stanęły na drodze nieprzyjaciół... Czeka na was sposobność okazania tyle już razy doświadczanej waleczności... Niech dzień dzisiejszy, uświęcony wspomnieniem Połtawy, nowem natchnie was bohaterstwem!... Wzorem swych poprzedników, obróćcie w niwecz zamysły wroga, skierowane przeciw waszej religii, waszemu honorowi, waszej ojczyźnie, waszym rodzinom.,. Bóg, który broni sprawiedliwych, udzieli wam swego błogosławieństwa..."

Na pierwszej odezwie nie wskazano, skąd pochodzi. Na drugiej zaznaczono wyraźnie: „Z obozu pod Dryssą."

Te dwie odezwy, czyż nie są dwoma ruchami wahadłowemi umysłu, który swego punktu ciężkości dopiero szuka?

Dopatrywano się w postępowaniu Aleksandra krańcowej finezyi, wprost chytrości. Według swych portrecistów, miał to być „szczwany lis," który pozorami dobroduszności wyprowadza w pole najmędrszych i najostrożniejszych. Sam Napoleon uważał go chwilami za takiego, i radzi mieć się na baczności przed tym „Grekiem."

Tymczasem ów arcyprzebiegły *Reineke Fuchs*, już po przejściu Niemna przez Francuzów posyłał do nich swego najzaufańszego hrabiego Tołstoja, raz jeszcze próbując, czy wojny zażegnać się nie da. Chodziło o drobnostkę, o to tylko, żeby Napoleon ze swą niemal milionową armią... cofnął się z powrotem za Niemen! Równało się to żądaniu od staczającej się lawiny, żeby była łaskawa zatrzymać się w miejscu, a potem wznieść się w górę i osiąść na najwyższym szczycie, pod postacią śnieżnej drobinki.

Zdaje się, że gdyby wyrażenie *sancta simplicitas* nie istniało, to należałoby je dla tego jednego faktu stworzyć.

Ludzie długo zwłóczący z powzięciem postanowienia, zajadle potem trzymają się go i bronią. Car, przekonany, że już „odrobić się" to nie da, zrobił znak krzyża na czole i piersiach i postanowił zostać — bohaterem. Do obozu wyjechał, kierownictwo całej kampanii objął, naczelnym wodzem wojsk wszystkich ogłosić się kazał. Niemało trudu użyć musiano, aby go o niewłaściwości ostatniego kroku przekonać.

Po tamtej stronie, plan wyprawy przemyślano i przygotowano ze ścisłością drobiazgową, doprowadzoną do pedanteryi; tu, ściśle rzecz biorąc, wszystko było chaosem. Na radach wojennych, coraz inni generałowie z coraz innemi występowali planami. Cesarz wszystkie odrzucał. W tej chwili wielka sprawa obrony kraju spoczywała w rękach dwóch ludzi, którym car ufał: generała Barclay de Tolly i księcia Bagrationa. Po za nimi był jeszcze osiemdziesięcioletni, ślepy na jedno oko, weteran inwalida, uczeń sławnego Suworowa, sam również sławny: Kutuzow. Tego nikt w rachubę nie brał. Car nigdy o nim nie mawiał inaczej, jak „staryk," co brzmiało prawie, jak „niedołęga." Nieco więcej uwagi poświęcano Beningsenowi, choć i ten nie wiele był młodszy od Kutuzowa.

Dwaj obecni wodzowie dwugłosu zgodnego nie tworzyli. Ognisty Gruzin, Bagration, rwał się do akcyi zaczepnej, do bitwy w otwartem polu; uczony teoretyk, rozważny, powolny, ostrożny Barclay, głosował za systemem odpornym, za przeciąganiem wojny.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Przepowiednia kabalarki.

Z oryginału angielskiego przełożyła M. K.

5)

Anna obejrzała się, a po chwili zauważyła: — Tak mimo wszystko znam jednak tu kogoś: tę parę zabawną, w zeszłym roku widziałam ich w Aix-les-Bains.

— Kogo masz na myśli?

— Nie widzisz tego chudego, wysokiego mężczyzny, niedbale ubranego i tę tłustą małą kobietę. Okropna rzecz wydarzyła im się — ich dobry przyjaciel młody Rosyanin utonął w jeziorze Bourget. Narobiło to wielkiego hałasu w swoim czasie.

Sylwia spojrzała uważnie. Widziała dobrze teraz osoby, o których Anna mówiła i uśmiechnęła się mimowoli spostrzegłszy ich oryginalny wygląd. Tuż przy krupierze stała tęga kobieta ubrana w jasną czerwoną suknię, z maleńką niebieską czapeczką na głowie, która okropnie wyglądała przy ohydnej ceglastej cerze. Nie zwracała wiele uwagi na grę, choć od czasu do czasu kładła pięciofrankówkę na stole. Oczy jej biegały niespokojnie, jak gdyby kogo szukała.

Za nią stał wysoki, chudy mężczyzna, ubrany w śmieszny jasno popielaty garnitur alpagowy i wytarty panamski kapelusz. W ręce trzymał otwartą książeczkę, w której gorliwie notował.

— Ten człowiek — nazwiskiem Wachner — grywa tylko podług systemu. Notatki o tem czyni w książeczce.

Gracze tacy nigdy nie opuszczają Monte Carlo, bo tylko tam mają szanse wygranej. Myślałam, że i oni należą do klubu, a nie sądziłam, że tak się dziecinnie zabawiają.

Gdy tak mówiła, schyliła głowę, jakby w ukłonie, a pani Wachner uśmiechnęła się, ukazując białe, ostre zęby, patrząc badawczo to na Annę, to na Sylwię.

Pani Wachner mimo pospolitego wyglądu lubiła ładne rzeczy, a mianowicie interesowała się klejnotami. Ciekawą była bardzo, czy perły młodej Angielki były prawdziwe, czy fałszowane.

Przyjaciółki nie zostały długo w kasynie. Sylwia odwiozła Annę do pensyonatu, a sama wróciła do swej willi.

Zanim zapuściła firanki, stała długą chwilę, patrząc przez okno, w tę cudną noc czerwcową, rozjaśnioną łagodną poświatą księżyca.

Na jeziorze kołysały się już puste łodzie, które niedawno rozbrzmiewały radością i weselem.

Kasyno gorzało tysiącem lamp elektrycznych, a cały krajobraz pełen był dziwnej, tajemniczej piękności. Dziś więcej, niż zwykle zdawało się Sylwii, że jest bohaterką jakiejś cudnej opery romantycznej, której bohaterem jest równocześnie człowiek o płomiennych oczach i melancholijnej subtelnej twarzy — hrabia Paul de Vinci.

Dziwiła się dlaczego Anna mówiła o nim z niechęcią — byłaż to antypatya, czy niezrozumiałe uprzedzenie?

Długo jeszcze Sylwia słyszała pospieszne kroki przechodniów i gości wracających z kasyna, ale nie przeszkadzały jej te odgłosy. Wszystko było tutaj nowe i rozkoszne i niedługo pogrążyła się w sen, pełen przyjemnych zjawisk.

ROZDZIAŁ VI.

Budząc się następnego dnia Sylwia zapomniała zupełnie gdzie się znajduje. Ale otoczenie uprzytomniło jej wkrótce rzeczywistość — wszakże to był ten piękny pokój, urządzony z wytwornym smakiem, własnością damy dworu cesarzowej Eugenii.

Zegar wskazywał dopiero szóstą, ale Sylwia wyskoczyła z łóżka i odsuwając firanki wyjrzała oknem.

Służący przeprowadzał pięknego, rosłego konia tam i napowrót, osiodłanego do konnej jazdy. Któżby o tak wczesnej porze chciał wyjechać na przechadzkę?

Ciekawość Sylwii została niebawem zaspokojoną. Hrabia de Vinci, w czarnym jersey i długich butach ukazał się przed domem w towarzystwie pana Polperro.

Sylwia mogła dosłyszeć tylko „panie hrabio to“ i „panie hrabio owo“, i uśmiechnęła się sama do siebie.

Posiedziciel hotelu bardzo był dumnym z utytułowanych gości.

Hrabia de Vinci był także bardziej ożywiony i w lepszym humorze niż go kiedykolwiek dotąd widywała. Rozmawiając uprzejmie wskoczył na konia i wkrótce zniknął na zakręcie ulicy.

Sylwia przypuszczała, że wyjechał do lasku Montmorency, który jej specyalnie zachwalano w Paryżu.

Po niedługim czasie zapukano dyskretnie do drzwi i Sylwia zadziwiła się bardzo, widząc pana Polperro.

— Przyszedłem się zapytać czy pani dobrze spała — i także, czy życzy sobie angielskie śniadanie. Jeśli tak, to może być gotowe w sali jadalni, o ile pani nie rozkaże przynieść na górę.

— Zejdę na dół — rzekła Sylwia — ale teraz jeszcze za rychło — najprędzej między dziewiątą a dziesiątą.

Zabrała się do wypakowywania kufrów i nagle przyszło jej na myśl, że właściwie dłużej w Lacville zostać zamierzała. Żałowała jeszcze ciągle, że nie jest razem z Anną, ale z drugiej strony cieszyła ją nieco niejaka samodzielność.

Usiadła przy biurku i napisała kilka listów — takich, które mogły lub nie mogły być napisane — między niemi list do Billa Cherter, donosząc mu o zmianie miejsca pobytu i podając adres.

Przyjaciele, którzy mieli do Szwajcaryi jechać, byli jego przyjaciółmi także, było więc problematyczne, czy wogóle za granicę wyjedzie.

A pisząc te listy do Anglii, Sylwia doznawała dziwnego uczucia zadowolenia, że ją coś nieszczęśliwego oczekuje w najbliższej przyszłości...

A kiedy wreszcie zeszła do jadalni i zobaczyła hrabiego de Vinci, przyznała się sama przed sobą, że jego obecność była tem, co oczekiwała z przyjemnością.

— Myślę, że mój ranny wyjazd nie obudził pani — widziałem panią przy oknie.

Sylwia uśmiechnęła się.

— O nie, nie spałam już od pół godziny — rzekła.

— Pani też niezawodnie konno jeździ — widziałem dużo Angielek jeżdżących, jeszcze jako chłopiec, a wszystkie doskonale jeździły.

— Mój ojciec bardzo się obawiał, abym nie spadła, jako dziecko uczono mnie trochę, ale od czasu jak dorosłam, nigdy okazyi nie miałam.

Sylwia zarumieniła się mimowoli, bo oczekiwała napewno, że hrabia jej zaproponuje, aby z nim jeździła — przysposobiła się nawet na odmowną odpowiedź. Ale on nie nie mówił.

Nawet teraz po pewnej znajomości dziwiła się Sylwia, jak hrabia był różnym od innych młodych Francuzów. Choć był bardzo uprzejmy, ani cienia flirtu nie było w rozmowie.

Tego poranku, a trochę ją to gniewało, specyalnie był ceremonialny, a odzywał się z uszanowaniem, należącem się poważnym wiekiem paniom. A jednakże dwa razy podczas śniadania spotkała się z jego płonącemi oczyma; musiała sobie w duszy przyznać, że tak się nie patrzy na poważne matrony.

Wstali równocześnie od stołu. A gdy Sylwia zeszła do ogrodu, hrabia jej towarzyszył.

— Zwiedziła pani kiedy ogród warzywny? — zapytał obojętnie. — Myślę, że to panią zainteresuje. Pozwoli pani być jej przewodnikiem?

Szli teraz obok siebie. Dzień był cudny, a rosa świeciła się na trawie i liściach. Sylwia pomyślała, że to bardzo ciekawe zwiedzić francuski ogród warzywny.

— Zabawnie, jako dziecko bywałem często we willi du Lac, bo właściciel był dalekim kuzynem mej matki. Byłem tutaj nawet jako rekonwalescent, mając dziesięć lat. Moja matka nie życzyła sobie, abym był daleko od Paryża, tak więc przyjechałem tutaj.

— Jakie dziwne miejsce dla pobytu dziecka — wykrzyknęła Sylwia.

— Tak, ale Lacville był wówczas zupełnie odmienny od dzisiejszego. Jezioro było, dokąd Paryżanie co sobotę przyjeżdżali, aby łowić ryby, jeździć łódkami; kilka will było dookoła jeziora. Ale w tych czasach przedhistorycznych nie było kasyna. Dopiero kasyno zmieniło Lacville w to, co dzisiaj widzimy.

— Mamy więc powód błogosławić kasyno.

Przeszli teraz przez długą łąkę i hrabia otworzył małą furtkę, wiodącą do ogrodu warzywnego a Sylwia zobaczyła po raz pierwszy coś równie oryginalnego. Zakończenie tego dziwnego ogrodu warzywnego tworzyła oranżerya kamienna, budynek datujący z ośmnastego stulecia; pełen gracyi ubiegłej epoki.

— Co za rozkoszne miejsce — ale musi to pana Poiperro wiele kosztować takie utrzymanie porządku.

Hrabia zaśmiał się.

Nie znoszący wydatków — nasz obrachowany hotelista przeciwnie ogromne zyski ciągnie nietylko z owoców i warzywa, ale z kwiatów i gałęzi drzew drogocennych. Wszakże ogród ten zasila prowie całe Lacville swemi produktami. — Jako dziecko nazywałem tę część ogrodu rajem i dużo spędziłem tutaj szczęśliwych godzin.

— Musiało to być bardzo dziwne dla pana wrócić tutaj i widzieć willę zamienioną na hotel.

— Na razie było mi dziwnie — ale teraz się przyzwyczaiłem.

Szli teraz razem po wązkiej ścieżce.

— Życzy pani sobie wejść do oranżeryi? — zapytał. — Nie ma tam dużo do widzenia, bo wszystko wyniesiono na powietrze. Ale jest to bardzo starożytny, oryginalny budynek.

Oranżerya willi du Lac była typowym budynkiem ośmnastego wieku, którego architektura wyróżniała się delikatnością i wytwornością linii.

Wysokie drzwi były na ścieżaj otwarte i Sylwia weszła do środka — wspaniała fontanna wykuta z kamienia przedstawiała grupę mitologiczną — a mimo że dużo kwiatów wyniesiono, nie było tu wcale pusto.

— Usiądźmy — rzekł hrabia — czy pani na długo wybrała się do Lacville? — zapytał nagle.

— Nie wiem — odpowiedziała wahająco — to zależy od mojej przyjaciółki pani Wolskiej. Jeśli obie się zgodzimy, zostaniemy tu jeszcze 3 lub 4 tygodnie.

Milczenie zapanowało między nimi. Młody Francuz przyglądał się Sylwii z dziwnym wyrazem smutku czy obawy. Nagle powstał, a przeszedłszy dwa razy oranżerye, zatrzymał się nagle przed Sylwią:

— Pani Sylwio — zapytał — pozwoli mi pani być niegrzecznym?

Sylwia zaczerwieniła się gwałtownie. Zapytanie wprawiło ją w zdumienie — ale hrabia nie czekając odpowiedzi, prędko mówił:

— Proszę panią, niech pani opuści Lacville, przepraszam panią — ale to nie jest miejsce odpowiednie dla pani.

Mówił z wielką gwałtownością. Sylwia spojrzała na niego — była zdziwiona, ale wcale nie obrażona.

— Ale dlaczego? —Czemu nie mam zostać w Lacville?

— Ależ naturalnie, to nic złego, jeśli tu pani z kilka dni zostanie. Ale Lacville nie jest miejscem, gdziebym radził swej siostrze zostać dłużej — tak w istocie, powiem więcej. Lacville może się pani zdawać rajem niekiedy, ale jest to raj pełen zasadzek i pułapek.

— Pułapek? — rzekła Sylwia niedowierzająco — cóżby tu za pułapki być mogły, lub w ogóle jakie niebezpieczeństwa?

— Każde miasto, gdzie rządzi bogini gry jest pełne ludzkich gadów, pani — słońce przyciąga jaszczurki. Nie jemu winna gra, lub zamiłowanie do gry ofiar tej bogini, nie to jest miłość złota.

— Lacville jest jaskinią gry taką samą jak Monte Carlo. Ale podczas gdy tam dotąd wiele ludzi jedzie dla poratowania zdrowia, tutaj jedynie przyjeżdżają dla gry: Kasyno, które się pani niezawodnie wydaje jasnym, świetlanym punktem, było powodem wielu tragedyj. Czy wie pani, co Paryż myśli o Lacville?

Nie — tak — rzekła Sylwia z wahaniem. — Dowiedziałam się o Lacville dopiero przed tygodniem, ale słyszałam, że kupcy w Paryżu nie lubią Lacville.

— Pozwoli pani, powiedzieć jedną rzecz — każdy kupiec w Paryżu, z małemi wyjątkami — podpisał petycyę do rządu o odebranie konsensu na sale gry.

— Cóż za dziwna rzecz! — wykrzyknęła Sylwia.

— Przepraszam panią — to nic dziwnego — widzi pani — dużo tych pieniędzy, straconych tutaj, przeszło by do kieszeni kupieckiej. Hoteliści Paryżanie nie są naturalnie w tem samem położeniu co kupcy. Lacville im nic nie przeszkadza, bo jest tak blizko Paryża, że przybywający zwykle mieszkają tamże, a tu przyjeżdżają koleją. Tylko prawdziwi gracze mieszkają stale w Lacville.

Spojrzał na Sylwię, na której licach ukazał się ponownie zdradliwy, czerwony kolor.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

W płomieniach.

5) Z francuskiego tłumaczyła M. P.

— Prefekt bardzo był uprzejmy i zgodził się natychmiast na moją prośbę — mówił, podając rękę Coquenilowi. — Podpisał nawet już mianowanie pana na detektywa, a ja oddaję teraz wszystko w ręce pana i proszę, zajmij się tem z zwykłą swoją gorliwością i zręcznością.

ROZDZIAŁ VI.

Naprzeciwko hotelu Ansonia znajdowała się na ulicy Marbreuf mała winiarnia, otwarta całą noc — przebywali tam bowiem głównie doróżkarze i spóźnieni przechodnie, pragnący wypić jeszcze szklankę groku lub wina. Tam udali się Coquenil, Pouget i ojciec Tigol, aby się wzmocnić i o całej sprawie raz jeszcze pomówić.

— Dowiedziałeś pan się, jak ta kobieta wyszła z hotelu bez płaszcza? — spytał komisarz Tigola.

— Wzięła długi, czarny płaszcz od deszczu, będący własnością telefonistki, i wiszący w pokoju, w którym jest telefon! Kapiszon naciągnęła na głowę i niepostrzeżenie wyszła na ulicę — odpowiedział ojciec Tigol i zjednał uznanie komisarza.

Coquenil prosił Pougeta, aby mu dokładnie jeszcze raz wszystko wyjaśnił, a gdy komisarz skończył, zamyślił się na chwilę i rzekł:

— Więc podług opowiadania pana jest mordercą albo kobieta albo Amerykanin! Ale nie, tak nie jest! Sprawa ta jest bardzo zawikłaną i morderca, którego szukać musimy, znajduje się zupełnie gdzieś indziej. Przedewszystkiem — jest to człowiek mądry i przebiegły! Jeżeli powziął zamiar zastrzelenia kogoś w hotelu, to musiał wiedzieć dokładnie, jak się do tego zabrać i jak potem uciekać.

— Ale słyszy pan przecież, że sprawa zawikłana—zaczął komisarz trochę niecierpliwie — mianowicie, że właśnie w tej chwili zbliżył się do nich restaurator z jakąś starą, chudą kobietą, która blada i drżąca, szeptała, że musi powiedzieć coś panom z policyi, bo nie miałaby już jednej spokojnej chwili.

Pougot wzruszył ramionami, lecz Coquenil poprosił grzecznie kobietę, aby się nie lękała niczego i wszystko powiedziała, i wtedy dowiedzieli się następujących szczegółów:

Kobieta owa była niezamężną krawczką i pracowała dzień cały w gorącem, dusznem atelier. Dlatego wychodziła wieczorem chętnie na balkon, należący do jej pokoiku, w sąsiednim domu, i wychodzący na ulicę Marboeuf. Dziś wieczorem stała tam znowu, rozplatając włosy, i nagle usłyszała strzał i zaraz potem ujrzała, jak z przeciwległego okna wypadł jakiś błyszczący przedmiot. Widziała zupełnie dokładnie, że przedmiot ten upadł po drugiej stronie wysokiego muru, dzielącego hotel Ansonia od graniczącego z nim dziedzińca. Z początku nie zwracała na to uwagi, ale gdy usłyszała, co się stało w hotelu...

Coquenil nie pozwolił jej dokończyć. Zerwał się szybko, schwycił ramie krawczki i pobiegł z nią do drzwi.

— Pokaż mi pani zupełnie dokładnie — zawołał — gdzie upadł ten przedmiot, a raczej, gdzie go przerzucono przez mur!

Krawczka wskazała palcem na kępę trawy.

— O tam — rzekła — widziałam go tam, w trawie!

Coquenil skinął na ojca Tigola, który udał się natychmiast na wskazane miejsce.

— Czy on tam pójdzie? — spytała krawczka ciekawie.

— Tak! Możesz mi pani powiedzieć, kto przedmiot ten wyrzucił oknem?

— Nie, widziałam tylko jego ramie.

Coquenil podniósł głowę.

— Więc to było ramie mężczyzny?

— Tak, widziałam je zupełnie dokładnie — czarny rękaw i biały mankiet!

— A twarz...?

— Twarzy nie widziałam! Tylko ramie.

— Przypominasz pani sobie, z którego okna mężczyzna przedmiot ten wyrzucił?

— Naturalnie, to przecież nie trudno spamiętać! Otóż z ostatniego okna tam na pierwszem piętrze!

Coquenil niezmiernie był rozdrażniony, bo jeżeli zrozumiał dobrze rysunek komisarza, to krawczka nie wskazywała na okno pokoju pod numerem 6, tylko pod numerem 7.

— Spojrzyj pani, proszę, jeszcze raz! — rzekł. — Tam są dwa okna otwarte, ostatnie i przedostatnie. Może jednak przedmiot został wyrzuconym z tego drugiego okna! Namyśl się pani dobrze!

— Nie, nie, wiem napewno, że to było ostatnie okno.

— Obydwa są równe i obydwa otwarte — omyłka byłaby więc bardzo możliwa.

Ale krawczka pozostała przy swojem zdaniu.

— Co wiem, to wiem — rzekła — nie mylę się napewno!

W tejże chwili ukazał się Tigol po drugiej stronie ulicy i dawał znaki Coquenilowi, który zaraz też do niego pobiegł!

— Pistolet?

— Tak!

— Naturalnie nie ruszyliście go z miejsca?

Ojciec Tigol obraził się.

— Znam przecież służbę i wiem, co mi czynić wypada, a co nie — odpowiedział zachmurzony.

— Więc stójcie tu na straży i czekajcie aż przyjdę.

I wróciwszy do krawczki rzekł:

— Więc przedmiot ten został wyrzuconym z przedostatniego okna, nieprawda?

— Święty Boże! — zawołała kobieta, unosząc się gniewem — przecież mówię i powtarzam tysiąc razy, że z ostatniego! Z ostatniego — rozumiesz pan nareszcie? Ile razy mam to jeszcze powtórzyć?

— Dziękuję pani! Jestem ci teraz bardzo wdzięczny i wspomnę o tobie memu szefowi. Idź pani teraz do domu i nie mów do nikogo — ani słowa — o tej sprawie.

— Powiedz mi pan, jaki to był przedmiot. Chciałabym chętnie wiedzieć!

Detektyw pochylił się i szepnął.

— Był to srebrny, bardzo kosztowny grzebień.

— Ach Boże! srebrny grzebień!

— Tak, tak, idź pani teraz do domu — rzekł Coquenil i odprowadził ją grzecznie aż do drzwi.

Kilka minut później stali wszyscy trzej na dziedzińcu, przed kępą wysokiej trawy, wśród której leżał pistolet. Za nimi ukazał się ciekawy odźwierny, nie chcąc stracić ani jednego słowa z ich rozmowy.

— Słuchajcie przyjacielu, możecie zarobić dziesięć franków, jeżeli załatwicie mi pewne polecenie — rzekł Coquenil do niego. — Otóż tu macie kartkę, weźcie ją, jedźcie do kościoła Notredame, zadzwońcie do mieszkania kościelnego, pana Bannet i proście, aby wam dał psa, Hektora. Oddajcie mu naturalnie tę kartkę. Jeżeli pogłaskacie psa i powiecie mu, że idzie do „pana Andrzeja“, to wskoczy natychmiast do doróżki i przyjedzie tu z wami. Hektor jest mędrszy, niż niejeden człowiek. Przedewszystkiem spieszcie się i wracajcie jak najprędzej z Hektorem.

Po odejściu odźwiernego zwrócił się Coquenil do Tigola:

— Strzeżcie tu pistoletu dopóty, dopóki Hektor nie przybędzie. Przyślijcie mi go zaraz do winiarni.

— Gdzie pan teraz pójdziesz? — spytał Pouget.

— Muszę się rozmówić z panem Gorice. Pan go znasz, nieprawda? Wywołaj go, proszę z łóżka! Tak, tak, wiem, że już po trzeciej — dodał śmiejąc się i pokazując zegarek komisarzowi — ale tak być musi! Obudź go pan, uczyń to przez wzgląd na mnie! Potem udamy się wszyscy na spoczynek!

— Pan Gorice nie był wcale zadowolonym, że mu przerwano ciężko zdobyty sen. Przyszedł w wspaniałym jedwabnym szlafroku, a uprzejmość jego zdradzała aż nadto wyraźnie ogromny strach i niepokój.

Coquenil zaczął badanie pytaniem, kto zamówił pokój pod numerem 7 i dlaczego nikt nie przyszedł. Pan Gorice oświadczył, że pokój ten rezerwowano dla jednego z częstych gości ,który dopiero po dokonanej zbrodni telefonował, że przyjść nie może. Dla tego pokój ten był próżnym i na klucz zamkniętym.

— Na zewnątrz?

— Tak.

— I tkwił klucz w zamku?

— Tak.

— W takim razie mógł ktoś, przechodzący kurytarzem obrócić klucz i wejść do pokoju?

— To jest możliwe, ale pokój nie był oświetlony, i gdyby ktoś pierwszy lepszy...

— Nie mówimy o pierwszym lepszym, tylko o mordercy — przerwał detektyw. — Chodź pan, muszę pokój ten przejrzeć dokładnie.

— W numerze 6 nie byłem jeszcze — rzekł do stojącego tam przy drzwiach policyanta. — Potem próbował otworzyć drzwi do numeru 7.

— Holla! — zawołał — wewnątrz jest rygiel zasunięty! I znów obrócił klucz, usiłując daremnie otworzyć drzwi.

—Tam musiał być ktoś! I może jest jeszcze!

Pan Gorice stawał się coraz niespokojniejszym.

— Numer 7 — zaczął cicho — różni się od innych numerów tem, że ma jeszcze jedno wejście połączone z schodami. Wchodzą tędy i wychodzą czasem goście, bywający prawie codziennie u mnie!

— Dokąd prowadzą owe schody?

— Do wązkiego ganku pomiędzy hotelem a otaczającym go murem, stojącym w związku z ulicą Marboeuf za pomocą małych, w murze ukrytych drzwi. Kto posiada klucz do tych drzwi, ten naturalnie może niepostrzeżenie wejść do numeru 7 i wyjść znów na ulicę.

Coquenil słuchał z zmarszczonem czołem i gniewnie błyszczącemi oczami.

— Panie Gorice — rzekł z niezwykłą u niego szorstkością — jesteś inteligentnym człowiekiem, musisz nim być! Zbrodnia ta została popełnioną wczorajszego wieczora o dziewiątej, a teraz jest blizko czwarta rano! Czy raczysz mi powiedzieć, dlaczego o tej — tak niezmiernie ważnej rzeczy, zamilczałeś policyi przez sześć godzin?

— Ja — ja — nie wiem — jąkał przerażony hotelista.

— Czy chcesz ratować kogoś? Dla kogo był numer 7 rezerwowany?

— Nie znam jego nazwiska — odrzekł pan Gorice potrząsając głową .

— Co? Pan nie znasz jego nazwiska? — krzyknął Coquenil gwałtownie.

— Musimy być w takich sprawach bardzo dyskretni! To nasz obowiązek! Mamy dużo codziennych gości, którzy nazwisk swych nie wymieniają — mają zapewne słuszne do tego powody — żonaci ludzie — no, rozumiesz pan?

— Ale jak nazywają go kelnerzy? Bo przecież w jakiś sposób muszą o nim mówić!

— Mówiąc do niego, nazywamy go tak, jak każdego innego: monsieur, pomiędzy sobą nazywają go kelnerzy: „blondynem“.

— Blondynem! — powtórzył Coquenil.

— W ostatnim czasie przychodził tu często w towarzystwie pewnej damy, którą nazywał Lianą. Więcej nic o nim nie wiem. Ale co panu może zależeć na tem? Dziś wcale go tu nie było!

— Zkąd pan wiesz o tem? Przecież miał klucz od drzwi w murze.

— Tak, ale telefonował, że nie przyjdzie.

Detektyw wzruszył ramionami.

— Ktoś jednak był tu i zasunął rygiel. Masz pan klucz od drzwi w murze?

Mam!

— Więc wejdźmy tamtędy do pokoju. Proszę!

Gdy wychodzili z hotelu główną bramą na ulicę, zbliżył się ku nim portyer z przeciwległego domu z Hektorem. Ujrzawszy swego pana rzucił się pies ku niemu, skowycząc z radości, a Coquenil głaskał czule piękne zwierze, mówiąc do niego jak do przyjaciela:

— Będziesz dziś musiał ciężko pracować, rozumiesz? Ale teraz chodź z nami, Hektorze, i uważaj!

Wszyscy razem poszli na dziedziniec, gdzie leżał pistolet. Coquenil zaprowadził psa aż do kępy trawy i rzekł mu:

Szukaj!

Hektor obwąchał broń i dotykając nosem ziemi biegał po dziedzińcu tu i tam, nie mogąc znaleść żadnego śladu. Zaszczekał smutnie raz i drugi i wrócił do swego pana.

— Nie znalazłeś nic, — pocieszał go Coquenil. — Bardzo dobrze. Dajcie mi pistolet, ojcze Tigol, spróbujemy w inny sposób!

Zaledwie wyszli na ulicę, gdy na znak Coquenila zaczął pies w szerokich kołach szukać po bruku.

(Ciąg dalszy nastąpi).